WYSZLIŚMY POZA GRANICE SCHEMATÓW
Str. 3

„ZIEMIA OBIECANA"
WIELKI SPÓR
Str. 5

WEŁNĄ MALOWANE
Str. 7

STRAJK ŚMIECIARZY
Str. 4

WIĘSŁAW JAŻDŻYŃSKI
Str. 6

WOLNOŚĆ PRASY DLA 200 LUDZI
Str. 3

DAMA z PIESKIEM

PROWINCJONALIZM
Str. 10

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 6 (896) 6 LUTEGO 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Oddając do rąk Czytelnika kolejny — szósty już w tym roku — numer „Odgłosów", chcielibyśmy zwrócić uwagę na kilka publikacji. Przede wszystkim na artykuł Heleny Karwackiej, w którym autorka relacjonuje spory, jakie toczyły się nie tylko w Łodzi po ukazaniu się „Ziemi obiecanej" Władysława Reymonta. Dwa tygodnie temu Helena Karwacka pisała o literackich próbach opisania Łodzi przed ukazaniem się powieści Władysława Reymonta.

W artykule „Wyszliśmy poza granice schematów" Lucjusz Wodkowski podejmuje problem strukturalnych przemian przemysłu lekkiego. Wszyscy są zgodni, że przemysł ten działa w anachronicznej strukturze. Jak ją jednak zmienić? Badania na ten temat prowadzili naukowcy z Uniwersytetu Łódzkiego. Wyniki tych badań stały się podstawą dla publicystycznych rozważań.

Andrzej Makowiecki dzieli się nadal wrażeniami ze swojej podróży po krajach rejonu Morza Śródziemnego, prezentując reportaż z Turcji: „Strajk śmieciarzy". Natomiast Ryszard Binkowski w reportażu „Koniec ciuciubabki" przedstawia wstrząsający obraz obyczajów niektórych grup naszego społeczeństwa.

Szybko postępujący rozwój budownictwa powoduje rosnące zapotrzebowanie społeczne na meble, tkaniny dekoracyjne, wyposażenie gospodarstwa domowego. Ludzie otrzymując nowe mieszkanie starają się je szybko doprowadzić do właściwego poziomu, nowocześnie wyposażyć. Bogda Madej odwiedziła więc „Dywilan", aby znaleźć tam odpowiedź na pytanie: jakie dywany będziemy mogli kupić do nowego mieszkania? I kiedy?

Słownik pisarzy łódzkich przynosi sylwetkę twórczą Wiesława Jażdżyńskiego. W bieżącym numerze debiutuje Marian Miszalski opowiadaniem „Portret bohatera".

A poza tym — jak zwykle — felietony, recenzje i „Magazyn Odgłosów".

OBYCZAJE

RYSZARD BINKOWSKI

KONIEC CIUCIUBABKI

Donald w życiu nie widział gwałtu. Pięć razy sypiał z Dzidką, ale po dobrej woli. A kiedy pewnej nocy leżeli na tapczanie, on, Dzidka oraz Peter, pannie strzeliło coś do łba i zwiała do Andrzeja, brata, który spał w kuchni.

Wstali, złapali ją za ręce i za nogi i przenieśli na tapczan, żeby było cieplej. Raz, mówi Rysiek, kazał Donald rozdziać się Dzidce z szat. Miał wrażenie, że ona boi się Donalda, albowiem z własnej woli ogołociła się od dołu, zostając tylko w bluzce. Donld powiedział, żeby teraz Rysiek, bo on już rano... i nie ma siły. Po wszystkim Dzidka ubrała się i siedziała. Nie było gwałtu. Tylko ją namówili na sprzedaż pralnicy marki „Frania".

Gwałtu nie było...

Była rodzina, ojciec i matka, dwoje dzieci. Pozostało puste i brudne mieszkanie. I o tym będzie powiedziane. Pewnie zadzwoni szyderstwem, zapachnie pornografią, a wulgaryzm zepsuje smak estetom, lecz ani mi w głowie kpiny, szyderstwo, śmichy—chichy. Takie jest życie, w którym sieroty błąkają się po świecie. Te sieroty, których rodzice żyją...

1.

Ma siedemnaście lat. Zgubiła już twarz dziecka.

— Coś pokręciłaś w tym opowiadaniu.

— Trochę. Płaszcza mi nie ukradli. Ale Donald mnie bił. Nie zawsze brali siłą. Było też dobrowolnie. Z gratami też ciut nie tak. Sama chciałam sprzedać.

— Boisz się?

— Eee, przecież siedzą! Ale mogą wyjść. Nikt im nie udowodni gwałtu.

— Trzeba było meldować za pierwszym razem.

— Pan ma co jeść... A ja nie chciałam do DD.

W ciągu kilku miesięcy „luzu" wycwaniała. A ja jak ksiądz spowiednik. Do zwierzeń ją namawiam, jak głupi.

— Coś pan taki tato na lato?

— Możesz wrócić do dzieci...

Dalszy ciąg na str. 4

TURCJA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

STRAJK ŚMIECIARZY

Życie miasta może być sparaliżowane nie tylko przez awarię wodociągów i elektrowni oraz rozmaite klęski żywiołowe: powodzie, huragany, pożary. Przekonali się o tym mieszkańcy Izmiru. W połowie października ubiegłego roku Brygady Oczyszczania powiedziały: Stop! Należy nam się maleńka podwyżka — i póki co, nie przystąpiły do pracy.

Z początku nie wyglądało to groźnie. Tu i ówdzie pojawiły się sterty papierów, jakieś zawiniątka, worki, torebki, złachana odzież, kupki zeschłego chleba. Kto chciał brał łopatę i zgarniał świństwo pod krawężnik jezdni, byle dalej od własnego domu. Po kilku dniach okazało się, że kalkulacje śmieciarzy oparte były na realnych przesłankach, albowiem przynależna ludziom zdol-

Dalszy ciąg na str. 4

HISTORIA NAJNOWSZA

ANDRZEJ BLAJER

„KOSZTOWNA" OPERACJA

Przedstawione poniżej wydarzenia pochodzą ze źródeł wewnętrznych brytyjskiej służby wywiadowczej SIS i po raz pierwszy zostały ujawnione publicznie w ubiegłym roku na łamach londyńskiego „The Sunday Times Magazine".

Jest to historia zakończonej fiaskiem próby przerzucenia zachodnich agentów na terytorium Albanii. Prezentowana obecnie wersja przebiegu wypadków stanowi niejako odpowiedź na liczne niejasności zawarte w serii poświęconej temu, co wydarzyło się w Albanii 25 lat temu, a opublikowanej w 1968 roku przez wspomniane już pismo. Operację tę, przygotowywaną przez szereg miesięcy w ścisłej tajemnicy, wykrył wywiad radziecki, co w efekcie doprowadziło do udaremnienia tych zamierzeń. Toteż wiele dodatkowych i niezwykle interesujących szczegółów pochodzi z książki „Moja cicha wojna" napisanej przez byłego współpracownika radzieckiego wywiadu, Kima Philby.

Plan, który się nie powiódł, był jedną z największych klęsk, jaką poniósł wywiad zachodni w okresie zimnej wojny. Godne podkreślenia jest, iż to, co zostanie tu przedstawione, istotne jest nie tylko z tego względu, że obrazuje jak wiernie realia kształtują niekiedy sytuację i są silniejsze niż szalona fantazja szpiegowska, ale także dlatego, iż odsłaniają odwrotną stronę wszystkich działań szpiegowskich.

Wszyscy wymienieni brytyjscy agenci już nie działają, bowiem zmarli lub poszli na emeryturę, zaś nazwisko jedynego człowieka, pełniącego jeszcze służbę, zostało zmienione. Podobnie jak nazwisko pierwszoplanowej postaci operacji Franka Donnelly, jest tylko jednym z używanych przez niego pseudonimów, jakimi posługiwał się w okresie swej służby w brytyjskim wywiadzie.

* * *

U szczytu zimnej wojny Special Intelligence Service — SIS (Specjalna Służba Wywiadowcza) — we współpracy z amerykańską CIA przygotowała długo opracowywaną bezwzględną próbę obalenia socjalistycznego rządu w Albanii. Operacja ta stanowiła jedynie fragment planu działań o znacznie większym zasięgu, gdyż w wypadku osiągnięcia powodzenia podobne akcje miały być przeprowadzone przeciw innym państwom socjalistycznym. Koncepcja samej operacji była niezmiernie prosta. Przy jej opracowywaniu uwzględniono przede wszystkim trudną sytuację kraju, w jakiej znalazł się on bezpośrednio po zakończeniu wojny. Wielowiekowe zacofanie (największe w Europie), pogłębione jeszcze okupacją niemiecką oraz fakt, że rozpoczęta dopiero co rewolucja społeczna musi budować wszystko od podstaw — wszystko to było wiadomą oznaką trudności, jakie piętrzyły się na drodze rozwoju tego małego państwa. To właśnie postanowiono wykorzystać. Niemcy opuścili terytorium Albanii w listopadzie 1944 roku. Początkowy okres budowy nowego ustroju społecznego napotykał coraz to nowe przeszkody, zaś były władca Albanii król Zogu znajdował się wprawdzie na wygnaniu w Kairze, lecz w kraju pozostało jeszcze wielu rojalistów.

Główny zamysł operacji był oparty na założeniu, że jeżeli Zachód przerzuciłby dostatecznie dużo dobrze wyszkolonych agentów na teren Albanii, to mógłby tym samym zorganizo-

Dalszy ciąg na str. 2

„RUBINOWA HORTENSJA"

Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Socjalistycznej w Łodzi i Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. przy współudziale: Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Łodzi, Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich, Wydziału Kultury Urzędu Miasta i Powiatu w Piotrkowie Tryb., Zarządu Powiatowego, Miejskiego ZMS w Piotrkowie Tryb. oraz „Gazety Ziemi Piotrkowskiej" ogłaszają:

XI KONKURS LITERACKI
O „RUBINOWĄ HORTENSJĘ"
(w działach prozy i poezji)

Zakres konkursu obejmuje problematykę życia i pracy współczesnej młodzieży. W związku z przypadającą w roku 1975 XXX rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem organizatorzy proponują również przedstawienie okresu drogi przebytej przez nasz naród w ciągu 31 powojennych lat z uwzględnieniem przemian, jakie dokonały się na Ziemi Łódzkiej.

Warunkiem udziału w Konkursie jest nadesłanie nie opublikowanych dotąd prac na adres:

Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Socjalistycznej, 90-720 Łódź, ul. Wólczańska 4, z adnotacją na kopercie **„Rubinowa Hortensja"**, w nieprzekraczalnym terminie do dnia 30.IV. 1975 r.

Każdy uczestnik Konkursu w dziale poezji winien nadesłać po trzy utwory, koniecznie w 6 egzemplarzach maszynopisu, w dziale prozy utwory koniecznie w 3 egzemplarzach.

Osoby, które nie publikowały dotąd w ogóle swoich utworów i nie brały udziału w żadnym konkursie literackim, powinny dopisać zarówno na każdym egzemplarzu tekstu, jak i na kopercie: „Debiut".

Do prac oznaczonych godłem należy dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą wewnątrz imię i nazwisko autora oraz jego dokładny adres.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone na uroczystym podsumowaniu, które odbędzie się w czerwcu 1975 r. w Piotrkowie Trybunalskim.

Po rozpatrzeniu i ocenie prac jury przyzna nagrody w każdym z działów:

W dziale poezji:
I nagroda — Puchar „Rubinowa Hortensja" ufundowany przez HSG „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. i Zarząd Zakładowy ZMS oraz 4.000 zł
II nagroda — 3.000 zł
III nagroda — 2.000 zł
oraz dwa wyróżnienia po 1.000 zł
W dziale prozy:
I nagroda — Puchar „Rubinowa Hortensja" ufundowany przez HSG „Hortensja" w Piotrkowie Tryb. i Zarząd Zakładowy ZMS oraz 5.000 zł
II nagroda — 3.500 zł
III nagroda — 2.500 zł
oraz dwa wyróżnienia po 1.500 zł

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród oraz możliwość niewykorzystania pełnej ich sumy. W obu działach przewidywane są także wyróżnienia za najlepsze debiuty.

RFN

POGLĄDY NA HISTORIE

W ubiegłym roku ukazała się zbiorowa książka pod redakcją C. J. Burckhardta pod tytułem: Historia między wczoraj i jutrem (Geschichte zwischen Gestern und Morgen). Wielu autorów mówi tam o roli nauczania historii w RFN, o stosunku młodzieży do nauczania historii, o ocenach funkcji historii w nowoczesnym wychowaniu. Autorzy wychodzą od stwierdzenia, że historia ma złą prasę, że w wieku industrializacji, automatyzacji, wzrostu roli technokracji nauki humanistyczne są lekceważone Historię w szkole zastępuje ekonomia, politologia, wreszcie futurologia. Szybkie tempo przemian podważyło nauki płynące z przeszłości.

W Niemczech zaistniały specjalne przyczyny odwrócenia się od historii. Z dwu wojen światowych, pisze jeden z autorów, wyszliśmy pogardzani i znienawidzeni, stąd hasło — zapomnieć! Dostrzec przy tym można pewną niekonsekwencję. Młodzież na ogół akceptuje koncepcje marksistowskie, a wszak teoria marksistowska przywiązuje wielką wagę do nauk płynących z historii. Marksiści wierzą w ciągły rozwój. Nowa generacja Niemców urzeczona jest osiągnięciami gospodarczymi RFN, powodzenie uważane jest za najlepszy sprawdzian sukcesu.

W RFN zaistniały specjalne przyczyny powodujące zniechęcenie młodzieży do historii, w wyższym stopniu niż we Francji czy w Anglii. Młodzież RFN toleruje jeszcze historię najnowszą, ale ma zastrzeżenia do historii dawniejszej, nawet nowożytnej. Nie znaczy to, aby malała liczba instytutów historycznych w RFN, przeciwnie, ich liczba rośnie, kwitnie też historia lokalna i regionalna.

W RFN wyolbrzymia się konflikt generalicji i awersję młodych do historii. Fałszywe jest twierdzenie, jakoby historia prowadziła do kultu wielkich ludzi — można przecież zajmować się dziejami prostego człowieka. Jeden z autorów wypowiada mniemanie, że zainteresowanie historią u młodych nigdy nie zaginie. Podstawą tego przekonania jest, że nie znając przeszłości, nie możemy patrzeć w przyszłość. Historia daje klucz do ciągłej aktualizacji, bo historia to ciągi przemian. Z historii można też wyciągnąć fałszywe wnioski, tak np. zwolennicy zimnej wojny wnioskowali, że skoro polityka appeasementu w stosunku do Hitlera była błędem, również błędem jest polityka odprężenia w konflikcie Wschód-Zachód.

Technokraci widzieli w przeszłości hamulce postępu, ostrzeżenie przed szybkością przemian. Jakże mamy chcieć poznawać przeszłość, gdy z kart historii dowiadujemy się o samych tylko błędach popełnianych przez naszych ojców i dziadów. Ale przecież historia uczy zmienności, płynności ciągu dziejowego. Jak potrzebną jest historia, pokazują nowe kraje afrykańskie, poszukujące na gwałt historyków dla badania ich własnej przeszłości.

W Europie historia przestała budzić nacjonalizmy, raczej prowadzi teraz do poczucia jedności europejskiej, jedności całej ludzkości, wskazuje drogę do solidarności. Jeden z autorów wywodzi, że świadomość historii jest wyprzedzana przez zainteresowanie historią. Czyż nie charakterystyczne jest dla naszego społeczeństwa — piszą historycy niemieccy — zainteresowanie okrągłymi rocznicami? Przykładem rozmach, jaki wykazali Polacy organizując obchody 1000-lecia państwa. Albo odbudowa Starej Warszawy, odbudowa Starego Miasta w Gdańsku z pietyzmem architektonicznym jest dowodem, jak społeczeństwo odczuwa potrzebę kultu przeszłości. Odrzucenie przeszłości — stwierdza patetycznie jeden z autorów — to brak szans na przyszłość...

Specjalny rozdział książki jest poświęcony zestawieniu historiografii marksistowskiej i burżuazyjnej. Podkreślono tam, że historiografia burżuazyjna jest eksponentem interesów burżuazji. Fałszywe jest przekonanie, że historiografia niemiecka była odpolitycznione, przeciwnie — od Rankego poczynając miała zawsze ostry wydźwięk polityczny.

Bardzo pouczające jest zestawienie tematyki zachodnioniemieckiego czasopisma Historische Zeitschrift z wschodnioniemieckim Zeitschrift fuer Geschichtswissenschaft za rok 1962. W tym ostatnim roczniku przeważa tematyka z historii najnowszej, czego brak w Historische Zeitschrift.

Następny artykuł traktuje o stosunku teraźniejszości do przeszłości. Już Droysen zauważył, że dzięki historii rozumiemy lepiej teraźniejszość. Nie należy jednak abstrahować od zmian, jakie zachodzą w obecnym świecie. Każda generacja korzysta z nauk przeszłości, choć od czasów Nietzschego utarło się narzekać na ciężar przeszłości, który rzekomo hamuje postęp. Historiografia zachodnia broni zasady obiektywizmu w historii, który dla historyków radzieckich jest identyczny z kosmopolityzmem. Historiografia burżuazyjna reprezentuje stanowisko pluralistyczne.

Dziś wiemy — piszą historycy niemieccy — jakie błędy popełniał Hitler, powołując się na historię. Fałszywymi analogiami historycznymi operował Eden traktując Nassera jako nowego Hitlera. Błędem też byłoby dziś politykę odprężenia traktować jako nowy rodzaj polityki „zaspokajania" (appeasement) z lat trzydziestych.

Także drugi z autorów deklaruje się za uznaniem granicy na Odrze i Nysie. Co do koegzystencji można przeprowadzić analogię z okresem wojen religijnych i zwycięstwem zasady tolerancji. Szukamy człowieka w historii, a przeciwstawiamy się temu, co było nieludzkie, demoniczne. Dziś zwycięża zasada kooperacji. Wszak w historii mieliśmy przykłady współdziałania Papiestwa z Portą Ottomańską, Richelieu'ego z unią protestancką.

Książka jest niejednolita, artykuły nie były pisane na zamówienie, lecz wybrane z różnych publikacji, stąd powtórzenia i niekonsekwencje. Wypowiedzi należą do prominentnych historyków RFN raczej o poglądach postępowych, dowodem kilka deklaracji dotyczących naszej granicy na Odrze i Nysie.

JÓZEF DUTKIEWICZ

„KOSZTOWNA" OPERACJA

Dalszy ciąg ze str. 1

wać działalność w stylu francuskiego ruchu oporu (zwłaszcza „maquis") z okresu II wojny światowej, co z kolei mogłoby doprowadzić do wybuchu wojny domowej na pełną skalę. Dalsze rozumowanie speców wywiadu szło w kierunku wywołania podobnej rewolty w innych państwach socjalistycznych. Posługując się przy tym osławioną „teorią domina" niektórzy z nich robili sobie nawet, że w rezultacie analogicznych działań, wymierzonych przeciw Związkowi Radzieckiemu, podstawy tego państwa ulegną w pewnym momencie takiej erozji, że zacznie się ono rozpadać. Patrząc na to dziś z perspektywy lat nie można nie wyrazić opinii, że trudno było o bardziej bzdurną koncepcję, niemniej wówczas według planów na papierze, a nawet przy stole konferencyjnym, wszystko wydawało się wykonalne. Tak więc w myśl tych koncepcji w latach 1947—1952 na górzystych obszarach Albanii, na jej skalistych wybrzeżach lądowało na spadochronach wielu starannie szkolonych agentów. Część z nich pozostawała na jej terytorium, by wykonać zadania dywersyjne, część kierowała się ku granicy Albanii z Grecją, aby tam wspierać siły dążące do zdławienia greckiej demokracji. Działo się to bowiem w okresie, kiedy „jastrzębie" z Foreign Office i z Departamentu Stanu rozpaczliwie usiłowały przekształcić oblicze Europy wschodniej. Temu miała m. in. służyć omawiana operacja, której korzenie sięgają jeszcze okresu II wojny światowej.

* * *

Był styczeń 1942 roku. Frank Donnelly, oficer, który wszedł w skład tzw. sztabu oficerskiego sił Z, 14 armii, został właśnie zaangażowany do brytyjskiej królewskiej służby wywiadowczej, znanej jako MI-16 (Military Intelligence — wywiad wojskowy). W tym celu wezwano go do urzędu, mieszczącego się na Clive Street w Kalkucie, gdzie został poddany badaniom przez byłego maklera, a dobrze znanego londyńskiego kupca win. Było to kontrolne działanie centrali w Londynie. Donnelly musiał jednak udzielić właściwych odpowiedzi, gdyż w tydzień później z tejże centrali nadeszła depesza — „zatwierdzone, ale starać się wstrzymać rekrutację do wojska".

Z późniejszej relacji Franka Donnelly wynikało, że autorem tej depszy był starszy oficer marynarki. We wstępnej fazie swej służby w szeregach królewskiego wywiadu Donnelly pełnił obowiązki oficera-intendenta zaopatrującego brytyjskich agentów w Czungking, Kunming, Kukong, Kweilin, a także posterunki strażników wybrzeży w Wenchow, Foochow i Amoy. Zadania tych agentów polegały na dostarczaniu 14 jednostce lotnictwa wojskowego USA informacji, które umożliwiły jej szereg poważnych sukcesów w walce z flotą japońską.

Działalność Donnelly'ego w okresie wojny musiała zyskać wysoką ocenę jego przełożonych, gdyż po jej zakończeniu, zaproponowano mu pełnienie drugiej funkcji w kwaterze głównej SIS, która wówczas mieściła się na Broadwayu w Londynie oraz na wypadek demobilizacji stanowisko cywilne w tej instytucji. Donnelly przyjął tę propozycję i w 1946 roku został przydzielony do departamentu Q jako oficer operacyjny Q. Pełnił tam funkcję kwatermistrza.

Tak więc jako Q/Ops był bezpośrednio odpowiedzialny za zdobywanie dla brytyjskiej służby wywiadowczej wszelkiego rodzaju sprzętu, pełnych tricków papierośnic, dziwacznej broni i maleńkich nadajników, przy czym niezwykle istotną sprawą było sprawdzanie, czy wszystkie te przedmioty pozbawione są cech, które na wypadek fiaska operacji mogłyby wskazywać na ich brytyjskie pochodzenie. Ponadto do obowiązków tego oficera należało przygotowywanie „tajemniczych wskazówek" dla agentów. Spoczywała na nim również odpowiedzialność za „bezpieczeństwo domów i mieszkań w Londynie i na prowincji, w których agenci SIS mogliby się zatrzymywać w okresie szkolenia oraz w których można byłoby przechowywać i przesłuchiwać zagranicznych agentów". Swego czasu Donnelly dysponował w samym tylko Londynie 14 takimi kwaterami.

Do głównych zadań oficera Q/Ops przy przeprowadzaniu operacji w okresie zimnej wojny należało znalezienie odpowiedniego agenta, który mógłby działać za tzw. „żelazną kurtyną", zapewnienie mu odpowiedniego wyposażenia niezbędnego do swobodnego działania na wyznaczonym obszarze. W skład tego wyposażenia wchodziło przede wszystkim odpowiednie ubranie, stosowne do tamtejszych warunków, obiegowe pieniądze, używane bilety na istniejące tam środki komunikacji oraz przedmioty, których posiadaniem byliby zainteresowani tamtejsi mieszkańcy. Toteż przedstawiciele SIS przy ambasadach brytyjskich na początku okresu zimnej wojny otrzymali polecenie przesyłania do Londynu wszelkiego rodzaju przedmiotów, które mogłyby posłużyć za wzorce do skopiowania, a później do wyposażenia w nie agentów wywiadu. Takie właśnie zadanie spoczywało na Donnelly'm. Dostarczał on do Wielkiej Brytanii te wszystkie przedmioty, a zajmując się tym, nawiązywał kontakty z różnorodnymi specjalistami. Starał się on sprawiać wrażenie kupca zamawiającego ekscentryczne towary, a możliwości nawiązywania korzystnych znajomości miał przy tym mnóstwo.

To wszystko zadecydowało o zaangażowaniu Donnelly'ego do albańskiej operacji. Nie było bowiem dla niego problemem zdobycie na przykład przeterminowanego tortu czy zatrutej czekolady, a przy tym przedmioty te były sfabrykowane w ten sposób, że ich pochodzenie nigdy nie mogło przysporzyć kłopotów rządowi brytyjskiemu. Toteż Donnelly nie był bynajmniej zaskoczony, kiedy w końcu stycznia 1949 roku, po prawie trzech latach służby w Q/Ops (sekcji operacyjnej departamentu Q), został przeniesiony do sztabu pułkowników Y, znanego z okresu wojny jako sztab specjalny do operacji wykonawczych. Z instrukcji, jakie otrzymał od agenta X, wynikało, iż obecnie będzie pełnił specjalne obowiązki i działał dla „Operation Valuable", wspólnego przedsięwzięcia SIS — CIA, zmierzającego do przerzucenia agentów do Albanii.

Jednakże, zgodnie z zasadami gry, Donnelly został poinformowany jedynie o tej części działań, która dotyczyła jego osoby i dopiero później dowiedział się, że „Valuable" była tylko jedną z wielu operacji podjętych przez zespół SIS — CIA w celu przerzucenia agentów na teren Albanii. Ten sam X przekazał Donnelly'emu informację, że niebawem wraz ze współtowarzyszem złoży krótką wizytę w Atenach i przedyskutuje z przedstawicielem CIA i szefami brytyjskiej misji wojskowej możliwości użycia wyspy Korfu za bazę wypadową dla operacji. Poza tym powiedziano mu, iż oficer służby łączności na Malcie został poinformowany za pośrednictwem MI-15, że zarówno armia jak i biuro pułkowników poszukują miejsca na kwaterę główną oraz terenów szkoleniowych na Malcie, gdzie można by w okresie 2—3 miesięcy przygotować do „pracy" około 36 mężczyzn, tak, aby ich działalność nie zwróciła uwagi czynników lokalnych.

Zadecydowano więc, że wybrany teren powinien znajdować się nad brzegiem morza, w celu umożliwienia lądowania oraz przeprowadzenia ćwiczeń wspinaczki na skałach, a zarazem powinien być on dostatecznie bezpieczny dla ludzi znajdujących się nieustannie pod kontrolą. Ponadto powinien posiadać walory rekreacyjne. Do innych zadań Donnelly'ego w tym czasie miały należeć sprawy zaopatrzenia w broń małego kalibru, ładunki wybuchowe, granaty, układanie szyfrów i instrukcji dotyczących organizacji i działania komórek wywrotowych, sabotażowych i grup „partyzanckich", a niekiedy także trenowanie ludzi. Do jego obowiązków należało również dostarczanie funduszów na sfinansowanie ich działalności, wyszukiwanie łodzi do przewożenia agentów oraz sprawy drugiej kwatery głównej na wyspie Korfu. Jak już było wspomniane, realizacja operacji miała być przeprowadzona wspólnie przez SIS i CIA. Jednakże współpraca tych dwóch służb nie przebiegała wcale harmonijnie. O ile bez specjalnych trudności uzgodniono zasadniczą linię podziału odpowiedzialności — Wielka Brytania zaopatrywała bazę na Malcie, dostarczała małych łodzi, wyszkolonych oficerów i sprzęt, zaś Amerykanie mieli zapewnić znaczną część funduszów i przekazać swoje lotnisko Wheelus Field jako bazę do zrzutów spadochronowych, o tyle kwestia wyboru agentów do operacji spowodowała poważny rozłam. CIA proponowała bowiem użyć do tej „roboty" członków Albańskiego Komitetu Narodowego przez nią popieranego. SIS ze swej strony protegowała ludzi z plemienia wodza Abbasa Kupi. Ci drudzy wygrali spór i na agentów powołano ludzi z obozów dla emigrantów, mieszczących się we Włoszech.

C.d.n.

ANDRZEJ BLAJER

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

PROGNOZY

Jest pewnikiem, że aktualnie struktura przemysłu lekkiego jest anachroniczna. Podział na zjednoczenia, powstały przed wielu laty, a oparty bądź to na jedności surowcowej, bądź technologicznej dziś nie ma żadnego uzasadnienia. Technikę dziewiarską stosuje się dziś nie tylko w przemyśle dziewiarskim, podobnie jak włóknami naturalnymi i chemicznymi posługują się wszystkie przemysły, niezależnie od tego, czy noszą nazwę „bawełniany", „wełniany", „jedwabniczy", „dekoracyjny" czy „lniarski".

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WYSZLIŚMY POZA GRANICE SCHEMATÓW

Gdyby jednak ktoś wątpił w powyższe stwierdzenia, to mogę go zapewnić, że do podobnego wniosku doszli nie tylko praktycy, ale też ludzie nauki. Zespół naukowców Uniwersytetu Łódzkiego i SGPIS w Warszawie: prof. dr **Jerzy KORTAN** (UŁ), prof. dr **Jerzy KWEJT** (SGPIS) i doc. dr **Wiesław PIASKOWSKI** (UŁ) oraz inni pracownicy UŁ przeprowadził badania nad obecną strukturą przemysłu lekkiego, badania porównawcze nad strukturami zarządzania podobnymi przemysłami w krajach socjalistycznych i kapitalistycznych Europy i doszli do tego samego wniosku Spostrzeżenie praktyków zostało potwierdzone przez naukę.

Praktycy od dawna wiedzieli, że obecna struktura przemysłu lekkiego jest anachroniczna i w związku z tym staje się czynnikiem hamującym dalszy rozwój tego przemysłu. Ale praktycy — zaabsorbowani codziennymi sprawami tego przemysłu — nie mieli czasu, aby znaleźć odpowiedź na pytanie: **JAK ZMIENIĆ OBECNĄ STRUKTURĘ PRZEMYSŁU LEKKIEGO?** Tę odpowiedź, zgłaszając kilka sugestii i propozycji, znaleźli naukowcy.

1. ZAŁOŻENIA

Badania trwały dwa lata i pozwoliły w pierwszym etapie na kilka podstawowych stwierdzeń.

PO PIERWSZE — badań nad przemianami strukturalnymi przemysłu lekkiego, a przede wszystkim włókienniczego, nikt nie prowadzi, a jeśli nawet prowadzi, to nie są one nigdzie publikowane.

PO DRUGIE — w obliczu przemian strukturalnych dokonywanych w krajach socjalistycznych i kapitalistycznych polski przemysł lekki jest znacznie opóźniony.

PO TRZECIE — w przedsiębiorstwach kapitalistycznych przemiany strukturalne towarzyszą przemianom technicznym, uzupełniają je, tworząc warunki dla dalszego postępu technicznego.

PO CZWARTE — wielkie organizacje gospodarcze kapitalizmu w obliczu międzynarodowej integracji gospodarczej tworzą coraz to silniejsze organizmy, aby utrzymać swój prymat na rynkach.

PO PIĄTE — zarówno w krajach socjalistycznych, jak i kapitalistycznych struktura zarządzania dużymi zespołami gospodarczymi jest pionowa, a nie pozioma.

Struktura pionowa — to podporządkowanie całego procesu produkcyjnego produktowi końcowemu. Na przykład duży zakład odzieżowy dysponuje również fabryką tkanin, przędzy, a czasem nawet wytwórnią włókien chemicznych. Bywa i tak, że zakład ten podporządkowuje sobie wielkie domy towarowe. W takim przypadku struktura zarządzania podporządkowana jest takiej właśnie strukturze produkcyjnej, a jej podstawowym zadaniem jest stwarzanie warunków nie tylko najlepszej sprzedaży wyrobów, ale też stwarzanie warunków dla dalszego rozwijania postępu technicznego, aby poszczególni wytwórcy mogli produkować coraz taniej i coraz lepiej.

JAKI STĄD WNIOSEK?

Mówi prof. dr **Jerzy KORTAN: — Ponieważ jesteśmy opóźnieni w stosunku zarówno do sąsiadów ze Wschodu, jak i Zachodu i nadrobienie tych opóźnień potrwa kilka lat, postanowiliśmy zatem opracować prognozę przemian strukturalnych przemysłu lekkiego do 1990 roku. Opracowaliśmy kilka wariantów, biorąc za podstawę tendencje występujące w Europie i na świecie.**

2. DYGRESJE

Kiedy rozeszła się wieść, że naukowcy badają strukturę przemysłu lekkiego i pracują nad prognozą przemian strukturalnych, na biurku jednego z instytutów UŁ rozdzwoniły się telefony.

— Słyszałem, że zamierzacie likwidować zjednoczenia? — najczęściej słychać było zatrwożone pytania w słuchawce.

Trzeba więc było tłumaczyć, że nikt nic nie zamierza likwidować, że w końcu zadaniem nauki jest badać i na podstawie badań formułować wnioski, a zadaniem praktyki jest posługiwać się tymi badaniami.

Naukowcy między innym wzięli na warsztat istniejące **powiązania kooperacyjne**, szukając odpowiedzi na pytanie o ich celowość. Na tym przykładzie szukano też odpowiedzi na pytanie: **w jakim stopniu struktura pozioma przemysłu lekkiego jest już czynnikiem hamującym postęp?** Badania te przeprowadzono w **Tomaszowie Mazowieckim, Bielsku-Białej, Częstochowie i Zgierzu.**

Mówi doc. dr **Wiesław PIASKOWSKI: — Stwierdziliśmy, że nader rozwinięte powiązania kooperacyjne podrażają produkcję, przyczyniają się do nadmiernego wykorzystywania magazynów i transportu, nie znajdują uzasadnienia w powiązaniach regionalnych, gdyż często półprodukty wozi się po całym kraju i w końcu, że wynikają one nie z potrzeb rynku a jedynie z potrzeby bilansowania produkcji w ramach poszczególnych zjednoczeń. Nadmierne powiązania kooperacyjne, nie znajdujące większego uzasadnienia ekonomicznego, są też źródłem małej elastyczności przemysłu lekkiego.**

Przez wiele lat nie ulegała zmianie struktura zjednoczeń. Dokonywano wprawdzie drobnych korekt, ale były to „zabiegi kosmetyczne" a nie „operacje chirurgiczne". Wprawdzie w polskim przemyśle lekkim występują powiązania pionowe, są to jednak powiązania administracyjne. Komórki organizacyjne ministerstwa posiadają swoje odpowiedniki w zjednoczeniach, a te znów — w zakładach. Te pionowe powiązania ułatwiają administrowanie przemysłem, a nie zarządzanie nim.

Pionowe powiązania administracyjne ograniczają pole działania gospodarczego, prowadzą do wąskiej specjalizacji, która w konsekwencji ogranicza strategiczną samodzielność przemysłu. W warunkach dokonującej się rewolucji naukowo-technicznej dalsze utrzymywanie anachronicznej struktury przemysłu lekkiego staje się już rzeczą niemożliwą i wręcz szkodliwą. Nie można tu jednak dokonać rewolucji. Jeśli MPL zdecyduje się na zmiany, to musi je wprowadzać etapami, stopniowo, stale dopasowując nową strukturę do aktualnych potrzeb produkcji i rynku.

Ponadto w Polsce występuje nadmierne **rozproszenie potencjału przemysłu lekkiego.** Włókiennictwem, szyciem, dziewiarstwem zajmuje się nie tylko wielki przemysł, ale również spółdzielczość pracy i przemysł terenowy. To rozproszenie potencjału swego czasu znajdywało uzasadnienie w potrzebach rynku, których wielki przemysł lekki nie był w stanie zaspokajać. Dziś takiego uzasadnienia już nie ma. Przemysł lekki przechodzi szybką modernizację, instalując w nowo budowanych fabrykach najnowocześniejsze maszyny i wprowadzając nowoczesne technologie. W tej sytuacji spółdzielczość pracy powinna koncentrować się głównie na rozwijaniu usług, a przemysł terenowy na wspomaganiu przemysłu państwowego produkcją dodatków, artykułów pomocniczych, pełniąc wobec niego rolę kooperanta.

Rzeczywistość jest jednak inna. Zarówno spółdzielczość pracy, jak i przemysł terenowy zajmują się również produkcją wielkoseryjną, a nierzadko też i eksportem. Dla koordynacji tej rozproszonej produkcji powołano specjalne zrzeszenia producentów, typując wiodące zjednoczenia i zakłady.

Zdaniem naukowców praktyka pokazała, że rola zjednoczeń i zakładów wiodących zakończyła się niepowodzeniem. Wprawdzie udzielają one pomocy podopiecznym producentom, służą „pogotowiem technologicznym", proponują korzystanie z rezultatów prac projektantów wielkiego przemysłu, ale jest to działanie doraźne. Wszelkie powiązania: podział zadań, podział premii, analiza wykonania planu — dokonuje się w ramach istniejących struktur, na co nie mają żadnego wpływu ani zjednoczenia, ani zakłady wiodące.

— **Ich rola** — mówi prof. dr Jerzy Kortan — **przypomina mi opiekunów społecznych. Ale to nie ma nic wspólnego z ekonomią.**

3. PROGNOZY

CO ZDANIEM NAUKI POWINIEN ZROBIĆ PRZEMYSŁ?

Nim odpowiem na to pytanie, chciałbym się zastrzec, że autorzy opracowania prognozy strukturalnych przemian przemysłu lekkiego wielokrotnie zwracali uwagę, że wyniki ich badań nie są żadną receptą, że oni prezentują kilka wersji rozwiązań, które — po pierwsze — wymagają jeszcze badań, ale już szczegółowych, a także — i to po drugie — powinny być wprowadzane jednocześnie, w zależności od warunków i potrzeb.

Mówi prof. dr **Jerzy KORTAN: — Wyszliśmy poza ramy schematów, poza tradycyjne podziały i uznaliśmy, że optymalną formą organizacyjną przemysłu lekkiego powinny być kombinaty, łączące wytwórców z różnych gałęzi przemysłu.**

Stworzono trzy modele przyszłej struktury organizacyjnej przemysłu lekkiego, choć pojęcie to już w prognozie traci swoje znaczenie.

Tu uwaga na marginesie: Pojęcie przemysłu lekkiego spotyka się nader rzadko poza granicami Polski. Najczęściej używa się pojęcia „przemysł włókienniczy" albo „przemysł konsumpcyjny". Związki produkcyjne tych przemysłów — poza powiązaniem z handlem — sięgają bowiem również do przemysłu maszynowego i chemicznego.

Stworzono więc model **organiczny, branżowy i kompleksowy.** Podstawą każdego z nich jest **kombinat.**

MODEL ORGANICZNY opiera się na powiązaniach pionowych. Punktem wyjścia dla tej struktury organizacyjnej jest produkt końcowy, a powiązania idą wstecz aż do produkcji surowca.

Proponuje się więc utworzenie 10 zrzeszeń wytwórców:
- **odzieży ciężkiej,**
- **odzieży lekkiej,**
- **wyrobów pończoszniczych,**
- **galanterii tekstylnej,**
- **wyrobów dekoracyjnych,**
- **wyrobów technicznych i filców,**
- **obuwia i maszyn dla przemysłu skórzanego,**
- **maszyn i urządzeń włókienniczych,**
- **surowców lnianych,**
- **barwników do lakierów.**

Gdyby zrezygnowano z którego ze zrzeszeń, na przykład zrzeszenia wytwórców maszyn i urządzeń włókienniczych, które jak wiadomo należy do innego ministerstwa, to wariantowo proponuje się utworzenie zrzeszenia wytwórców włókien syntetycznych albo skór, syntetyków i mas plastycznych. To wariantowe rozwiązanie też jest wyjściem poza istniejące schematy.

MODEL BRANŻOWY opiera się na powiązaniach pionowych.

Proponuje się więc utworzenie zrzeszeń wytwórców:
- **przędzy,**
- **tkanin,**
- **dzianin,**
- **wyrobów nie tkanych i powlekanych,**
- **odzieży,**
- **obuwia i wyrobów skórzanych.**

Pozostałe, wraz z wariantami są takie same jak w modelu organicznym. Podstawą powiązań wytwórczych byłaby tu technologia, bez względu na surowiec.

Zupełnie inaczej natomiast wygląda propozycja rozwiązań w trzecim przypadku. **MODEL KOMPLEKSOWY** opiera się na powiązaniach regionalnych i kooperacji międzynarodowej.

Mówi doc. dr **Wiesław PIASKOWSKI: —** Kooperacja międzynarodowa systematycznie rozwija się i doskonali. Rozwija ją również i Polska, głównie w ramach RWPG. Ale uczestniczymy też w budowaniu przemysłu włókienniczego u wytwórców surowców naturalnych. Gdybyśmy więc uznali na przykład przemysł bawełniany za nie mający szans rozwoju, to możemy nawiązać kooperację z wytwórcami bawełny i półproduktów z bawełny i zająć się tylko wykończaniem i szyciem tego, co oni by nam dostarczali. Taki pogląd ma swoje uzasadnienie w znacznym technicznym anachronizmie polskiego przemysłu bawełnianego.

MODEL KOMPLEKSOWY opierałby się podobnie jak poprzednie na kombinatach z tym tylko, że te kombinaty byłyby powiązane regionalnie. Proponuje się więc utworzenie następujących regionów: **łódzkiego z Łodzią, górnośląskiego z Bielsko-Białą,** ale bez Częstochowy, **dolnośląskigo i białostockiego.**

W skład **regionu dolnośląskiego** wchodziłyby zakłady przemysłu lekkiego z województw: wrocławskiego, opolskiego i zielonogórskiego. W przyszłości przewiduje się możliwość wyodrębnienia regionu zielonogórskiego.

Poza tym istniałyby ośrodki przemysłu lekkiego: **Częstochowa, Kalisz, Żyrardów, Bydgoszcz, Toruń** — który również ma szansę na przekształcenie się w region — oraz kilka zakładów rozproszonych po kraju, które nie wchodziłyby ani w skład regionów, ani ośrodków. Na czele regionów stałyby zrzeszenia regionalne: na przykład — łódzkie zrzeszenie przemysłu regionalnego.

Realizacja tej koncepcji wymagałaby jednak racjonalnej polityki inwestycyjnej, aby kosztem inwestycji uzupełniających można było współpracę i kooperację zamknąć w ramach regionu. Zdaniem autorów tego projektu obecna polityka inwestycyjna zjednoczeń przemysłu lekkiego charakteryzuje się sporą dowolnością i nie zawsze można znaleźć dla niej ekonomiczne uzasadnienie.

Mówi prof. dr **Jerzy KORTAN: — Tych propozycji nie wolno traktować jako coś stałego i już zamkniętego. Od momentu przyjęcia ich pod rozwagę i do realizacji niezbędne są dalsze badania szczegółowe. Poza tym uważamy, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby były one realizowane jednocześnie, aby wybierano z nich to, co najwartościowsze i najlepiej będzie służyło praktyce.**

Wyniki badań zostały przekazane MPL, które było zresztą ich inicjatorem. **Co będzie dalej?** Pokaże to życie. Obyśmy tylko nie musieli zbyt długo czekać, gdyż inni nie próżnują i nie stoją w miejscu.

NIE TYLKO HISTORIA

WOLNOŚĆ PRASY DLA 200 LUDZI

„Przemysł świadomości", „przemysł kultury", „przemysł opinii" czy prościej „przemysł prasowy" — to nie tylko terminy współczesnego prasoznawstwa. To także coś więcej: to kategorie pojęciowe, w których odzwierciedla się prasowa rzeczywistość w krajach kapitalistycznych. Spotykając się na co dzień z zasadniczo odmiennym systemem prasowym, sięgając do prasy kapitalistycznej najczęściej pośrednio, w postaci przedruków czy powołań i różnego rodzaju przeglądów, nie zawsze uświadamiamy sobie, czym naprawdę jest ów „przemysł opinii" na Zachodzie, jaka jest jego siła, jakie spełnia on funkcje, jak ważną jest cząstką politycznej rzeczywistości. Wiedza o tych sprawach nie jest bez znaczenia dla zrozumienia dokonujących się w świecie przemian, jak nie bez znaczenia jest wiedzieć nie tylko o tym, co mówi się o interesujących nas problemach, ale i to, kto wypowiada to, co nas właśnie obchodzi.

Znaczenie środków masowego przekazu w RFN wyznaczają takie fakty jak, że tylko 2 procent rodzin nie ogląda programów TV, nie słucha radia i nie czyta regularnie prasy, że na 100 rodzin 92 posiada radioodbiorniki, 85 telewizory, 77 prenumeruje bądź regularnie kupuje gazety. Wprawdzie telewizja wysuwa się coraz bardziej na czoło, jako najnośniejszy środek masowej informacji, przecież nie hamuje ona ani rozwoju prasy, ni jej czytelnictwa. Badania z 1970 r. wykazały, że w rodzinach, posiadających zarówno odbiorniki telewizyjne, jak radiowe, na 100 osób w dni powszednie 72 czytały gazety, 68 słuchało radia a 32 oglądały program TV. Ale tzw. kultura telewizora prowadzi też do skutków nie całkiem do pozazdroszczenia. Podług badań monachijskiego instytutu Infratest z 1970 i 1971 r.

„Telewidzowie w RFN w wieku od 14 lat w czasie tygodnia poświęcali przeciętnie 23 godziny i 40 minut na korzystanie ze środków masowego przekazu, z tego 13 godzin i 9 minut na oglądanie telewizji, 5 godzin i 22 minuty na słuchanie radia, płyt i nagrań magnetofonowych, 3 godziny i 56 minut na lekturę książek i 8 minut na kino i teatr".

Zaczerpnąłem te dane — oczywiście oprócz wzmianki o przypomnianym tu dziele rodzimej dramaturgii — z książki **Lucjana Meissnera „Prasa w systemie politycznym RFN"** (PWN, 1974), jednej z wciąż nielicznych u nas, a jakże potrzebnych publikacji stawiających sobie na celu poważnie rozumiane zadania informacyjne o aktualnej rzeczywistości w krajach kapitalistycznych.

„Prasa jest najczulszym barometrem życia politycznego i nieustannie się zmienia w swej treści, sloganach propagandowych i hasłach dnia. Zmieniają się ci, którzy ją tworzą: dziennikarze, publicyści i redaktorzy naczelni, a także jej właściciele: maleją lub zwiększają się nakłady; przybywa lub ubywa czytelników. Nic nie zmienia się tak szybko, jak gazeta i czasopismo".

Ale jaki jest kierunek tych zmian? Uchwycić go niełatwo, bo trudno dostrzec zmiany w czasie ich stawania się, na gorąco. Tym bardziej, że prasa jako zjawisko społeczno-polityczne ma w RFN rozmiar ogromny. Wystarczy podać, że pod koniec 1972 r. wychodziło tam 458 gazet, a jeśli dodać poszczególne mutacje, ogólna liczba urosłaby do 974. Ale gazeta gazecie nie jest równa: spośród 373 gazet, objętych badaniami w 1970 r., a więc daleko nie wszystkich, przede wszystkim lokalnych, aż 157 miało nakłady mniejsze niż 5 tysięcy egzemplarzy, zaledwie 18 liczyło sobie nakłady od 100 do 150 tysięcy, zaś 29 ponad 150 tysięcy nakładu.

W 1968 r. aż 41,1 proc. sprzedanego nakładu różnych dzienników przypadło na pięć wielkich koncernów prasowych, w tym 19,6 proc. na koncern Axela Springera. W 1970 r. dokładnie połowa sprzedanego nakładu prasy codziennej, były to dzienniki wydawane przez wielkie koncerny, stanowiące zaledwie 3 proc. wszystkich istniejących wydawnictw gazetowych. Te trzy procent firm wydawniczych to takie koncerny, jak największy z nich Axela Springera, dysponujący siecią wydawnictw i tytułów a nadto dwoma własnymi agencjami informacyjnymi, koncern Heinricha Bauera, koncern Gruner-Jahr GmbH and Co., koncern Bertelsmann AG i kilka innych, decydująco dominujące nad innymi, mniejszymi wydawnictwami.

Prasa wielkich koncernów, o której politycznej orientacji na ogół wiemy stosunkowo dużo (zwłaszcza o prasie springerowskiej), nie wyczerpuje jeszcze listy „liczących się" na zachodnioniemieckim rynku prasowym dzienników i czasopism. Mamy tam bowiem obfity katalog prasy partii politycznych — SPD — która wprawdzie nie posiada własnego dziennika o zasięgu ogólnokrajowym, wszakże dysponuje kilkunastoma dziennikami prowincjonalnymi — CDU, FDP aż po prasę DKP, na którą składa się jeden organ centralny, mianowicie dziennik „Unsere Zeit", oraz ponad 500 gazet zakładowych. Zniesienie zakazu działalności partii komunistycznej znalazło swe odzwierciedlenie w postaci nowych tytułów gazet, jednakże prasa komunistyczna nie osiągnęła jeszcze w RFN tego rozmiaru, jaki miała przed delegalizacją KPD w sierpniu 1956 r. Wychodziło wówczas 650 komunistycznych gazet zakładowych, których łączny nakład liczył półtora miliona egzemplarzy; dziś nakłady są znacznie mniejsze (L. Meissner oblicza je na 50 tysięcy), choć liczbę czytelników szacuje się wysoko, na około 200 tysięcy. Obok prasy partii politycznych istnieje jeszcze prasa związków zawodowych, najrozmaitszych organizacji (z osławionymi „ziomkostwami" na czele), tzw. „prasa tęczowa", zamieszczająca wzruszające reportaże z życia gwiazd filmowych, niemniej pasjonujące opowiastki z życia wyższych sfer arystokratycznych, a czytana przez... 18 milionów osób, czyli jedną czwartą ludności RFN itd.

Zatrzymajmy się za L. Meissnerem nad prasą rewizjonistyczną. W latach 1955 — 1972 stopniowo zmniejszała się liczba tytułów prasy ziomkostw i obniżały się jej nakłady, co nie oznacza, by tytułów tych było mało, a nakłady niewielkie. Pod koniec 1969 r. ukazywało się bowiem 361 pism przesiedleńców o łącznym nakładzie 1 750 000 egzemplarzy. Dane oficjalne za rok 1973 informują o łącznym nakładzie 1 600 000, a więc mniejszym niż poprzednio.

„Pomimo prowadzonej przez SPD i FDP polityki pokoju i odprężenia — pisze L. Meissner — **wrogie tej polityce organizacje rewizjonistyczne i ich prasa nadal korzystały w latach 1969 — 1972 z zagwarantowanego im przez prawo finansowego wsparcia, przysparzając niemało kłopotów socjalliberalnemu rządowi Brandta — Schoela".**

Wiadomo, że udzielane przez rząd subwencje nie były znów takie małe, zaś Georg Herde twierdził nawet na podstawie analizy projektów budżetowych na rok 1971/7, **„że subsydia dla organizacji i instytucji rewizjonistycznych nie zostały bynajmniej zmniejszone lub skreślone. Przeciwnie — w większości wypadków zostały zwiększone".**

Proces koncentracji prasy eliminuje małe i średnie wydawnictwa o kruchych podstawach finansowych. Kapitał potrzebny do założenia nowej gazety codziennej wynosi... aż 35 milionów marek, przy czym będą one nieuchronnie stracone, jeżeli pismo „nie chwyci". I dlatego na utworzenie masowego dziennika, o zasięgu obejmującym całą RFN, nie mogą sobie pozwolić nawet tak silne organizacje, jak SPD czy Deutscher Gewerkschaftsbund. Kogo stać na zaryzykowanie tych 35 milionów, ten może dysponować własną masową gazetą. Kogo zaś na to stać, to wiemy. I dlatego trudno dziwić się publicyście z RFN Paulowi Sethe, że pisał:

„Jakże często rzeczywistość konstytucyjna jest zupełnie inna, niż litera konstytucji. Wolność prasy jest wolnością 200 bogatych ludzi do wyrażania swych opinii. Zawsze znajdą się dziennikarze, którzy opinię tę będą podzielać. Wolny jest ten, kto jest bogaty".

LEKTOR

KORESPONDENCJA z ZAGRANICY – TURCJA

Dalszy ciąg ze str. 1

ność produkowania brudów nie zna granic.

Sterty przeistoczyły się w kopce. Powietrze straciło swoją krystaliczną woń. Do działania przystąpiły szczury, koty i watahy dzikich psów. Żebracy o płonących nadzieją oczach czerpali pełnymi garściami, szperając w wozach, przetrząsając kosze, rozgrzebując tajemnicze zawiniątka. Ich tropem poszła dzieciarnia, serdecznie ubawiona zmianą miejscowego pejzażu. Wiatr miotł papierami po chodnikach, rozbite butelki trzeszczały pod kołami samochodów; niektóre arterie zrobiły się nieprzejezdne, powstawały zatory i korki.

Myśląca część społeczeństwa uderzyła w dzwon trwogi. Żerujące na odpadkach muchy groziły epidemią. Smród i miauczenie kotów przyprawiały ludzi o bezsenność. Sprytniarze z luksusowej dzielnicy zaczęli przerzucać śmieci do dzielnic biednych, położonych w górnej części Izmiru. Tam i tak zawsze jest brudno. I zawsze śmierdzi... Targi owocowe, jatki, pod którymi czekają żałośnie na swoją kolejkę spętane barany, ugorne place, zionące rynsztokami, cuchnąca, prawie zupełnie wyschnięta rzeka...

Mój towarzysz, lekarz z Warszawy, potrzy na to przerażonym wzrokiem. Izmir jest naszym pierwszym miastem tureckim, a już zostaliśmy zdominowani przez śmieci. Wydaje nam się, że poza brudem wszystkie inne problemy tego kraju są błahe. Potem zmienimy oczywiście zdanie..

W Iskanderunie, który leży tuż przy granicy z Syrią, zastaliśmy wielki ład i porządek oraz poważne niepokoje wśród ludności. W porcie przy centralnej kei, stał amerykański statek pod pięknym wezwaniem Export Democracy, a wzdłuż jego burty ustawiły się rzędem amerykańskie i tureckie wozy wojskowe. Przeniknąłem tam z miną znudzonego włóczęgi. U.S. Air Force — tylko do użytku wewnętrznego. Tak pisało na ciężarówkach. Pracujące bez wytchnienia dźwigi ładowały na platformy samochodów ogromne poznaczone symbolami skrzynie oraz owinięte w szmaty żelastwo Te skrzynie i to żelastwo nie budziły żadnych wątpliwości, poza jedną: Stany Zjednoczone udzielały jeszcze w owym czasie Turcji „pomocy wojskowej", ale pod warunkiem, że nie będzie ona użyta w tureckich operacjach przeciwko Cyprowi. Tak się dziwnie składa, że Iskanderun dzieli od Cypru zaledwie kilkadziesiąt kilometrów.

W Mersinie, który jest jeszcze bliżej Cypru, proporcjonalnie większe były także niepokoje. Sklepy jubilerskie i złotnicze przeżywały swój wielki boom. Ludzie stali w kolejkach jak po cytryny; ręce niektórych kobiet obwieszone były po łokcie bransoletkami i zegarkami, a na palcach nie mieściły się już pierścionki.

W Tekirdagu, który jest miastem na europejskim brzegu Morza Marmara, rozmawiałem z tureckim żołnierzem. Wrócił właśnie z Cypru, brał udział w inwazji. Nie wiem, czy jego ręce były czyste, ale gdybym rozmawiał z żołnierzem greckim, też nie miałbym tej pewności.

— Wojna jest dla młodych ludzi rzeczą straszną — mówił i brzmiało to przekonywająco. — Zawsze będę przeciwko wojnie. Nie umiem patrzeć na trupy, nie potrafię mierzyć do człowieka.

Nie zmienia to faktu, że podczas niedzielnej defilady szkół i urzędów obywatele Tekirdagu wymachiwali transparentami: CYPRUS OLL TURKISH!

Poza Cyprem Turcja ma jeszcze swoje wewnętrzne rozterki. Moja wizyta w Istambule przypadła na

ANDRZEJ MAKOWIECKI

STRAJK ŚMIECIARZY

okres, kiedy zmieniał się rząd premiera Ecerita. W telewizji trwały wielogodzinne dyskusje pomiędzy zwalczającymi się stronnictwami. Kto miał głos, ten wymyślał i oskarżał. Niedawno wisiała na włosku wojna z Grecją, teraz nad miastem snuła się groźba wojny domowej. Czarna Sotnia — ugrupowanie skrajnie ortodoksyjnych muzułmanów — wkroczyła z pałami na uniwersytety. Byli ranni. Zapełniły się areszty. Policja nie miała jasnego obrazu, kogo zwalczać, bo nikt nie wiedział, jaki będzie przyszły kurs. Radykalnie nastawieni studenci protestowali przeciwko „pomocy amerykańskiej", przeciwko pozostawaniu Turcji w NATO, przeciwko wysyłaniu dalszych oddziałów na Cypr; domagali się także swobód społecznych i obyczajowych. Właśnie to rozwścieczyło najbardziej Czarną Sotnię.

Turcja jest krajem dziwnym, chciałoby się powiedzieć — europejskim. W większych miastach rzadko zobaczysz mężczyznę w szarawarach. Od czasów wielkiego Atatürka kobiety odkryły twarz. Atatürk, którego pomnik, muzeum, plac i ulicę znajdziesz niemal w każdym zakątku kraju, dał także kobietom prawa wyborcze i zniósł wielożeństwo. Na przestrzeni lat reformy te zaczęły procentować. Turczynka może wejść w towarzystwie męża do restauracji. Turek pomaga nieraz żonie taszczyć do domu ciężkie sprawunki. Turczynka może chodzić w mini-spódniczce, malować się a nawet palić papierosy. Turek weźmie bez wstydu na ramiona córeczkę. Turczynka, w przeciwieństwie do swoich arabskich sióstr, potrafi wpływać na męskie decyzje. Turek nauczył się kochać i szanować piękniejszą część gatunku. Jednakże wszystko to odnosi się wyłącznie do większych miast. Wieś i tak zwana prowincja żyje po staremu. Mężczyzna jest bogiem, kobieta niewolnicą, a córka niekochanym i prześladowanym potomkiem.

Jeśli poczytać w gazetach kronikę wypadków, można się nieźle przerazić. Czterdzieści kilometrów od Ankary dwudziestoletnia dziewczyna z biednego domu poślubiła osiemdziesięcioletniego starca. Po pokładzinach starzec, który był bogaczem, przeklął dziewczynę i odesłał ją rodzinie jako towar niecnotliwy. Ojciec i dwóch starszych braci wszczęli śledztwo. Dziewczyna powtarzała uparcie — nie! ale oni dali wiarę starcowi i żeby uratować swój biedacki honor, wyprowadzili ją na plac przed meczetem, gdzie przy milczącej aprobacie całej wsi została oblana benzyną i spalona.

Inny wypadek dotyczy kobiety okaleczonej. Wypytywana wiele lat temu przez synka: „Mamo, kto ci to zrobił", odpowiedziała: „Dowiesz się, jak skończysz osiemnaście lat". Kiedy nadszedł wreszcie ten dzień, chłopak ponowił pytanie i usłyszał, że wszystko stało się za sprawą kilku sztuk bielizny pościelowej, które składały się między innymi na jej skromny posag. Po ślubie, w szczęśliwym dla siebie okresie, dała je cichaczem ułomnej i brzydkiej siostrze — niech myśli, że też ma posag i też może wyjść za mąż. Brak bielizny został odkryty. Pan domu (ojciec chłopca) stanął przed swoją młodą żoną i powiedział: „chcę zobaczyć rączkę, która to zrobiła". Ponieważ miał za plecami siekierę, kobieta spytała: „A po co ci ta rączka?" — „Bo ja tę rączkę będę musiał obciąć". — „Dlaczego?" — „Żeby już nigdy nie wynosiła z domu moich rzeczy, więc gdzie ona jest?" Kobieta, rzecz jasna, nie pokazała mu tej ręki. Było to kolejnym wykroczeniem, toteż pan małżonek odrąbał jej za karę obie ręce... Taka była opowieść matki. Syn wysłuchał jej spokojnie, potem ogolił się, włożył czarny garnitur i poszedł złożyć wizytę ojcu, który od dawna żył i mieszkał z inną kobietą. Zastał ojca w łóżku. Obudził go, wyłuszczył mu krótko o co chodzi i nożem od zarzynania baranów rozpłatał mu gardło.

Morderstwa zdarzają się w każdym, najspokojniejszym nawet kraju. Nieuczciwie byłoby czerpać materiał z kroniki wypadków i obracać go przeciwko narodowi. Jeśli to robię — nie mam bynajmniej na uwadze samej zbrodni, ale jej rytuał i podłoże, zdające się świadczyć, że Czarna Sotnia może jeszcze liczyć na wdzięczny teren działania i wielu zwolenników. Z drugiej strony — przed Turkami trzeba nieraz schylić głowę. Potrafią być mili, przyjacielscy, uczciwi. Potrafią pracować znacznie szybciej i dokładniej niż jakikolwiek inny kraj w tamtym rejonie Azji. Potrafią zdobyć się na niejeden piękny gest wobec obcokrajowców, a nas, Polaków, nie tylko rozpoznają bezbłędnie na ulicach i bazarach, ale często szokują znacznym zasobem polskich słów

Atatürk troszczył się nie tylko o kobiety. Jego reformy pchnęły kraj na inne tory. Obalił sułtanat, przekształcił Turcję w republikę, zostając w latach 1923—38 jej pierwszym prezydentem, założył Partię Ludowo-Republikańską, zniósł kalifat i tytuły feudalne, wprowadził kalendarz gregoriański, alfabet łaciński i powszechne nauczanie, nawoływał do pokoju z sąsiadami, podpisując w dwudziestym piątym roku układ z ZSRR a w trzydziestym czwartym ententę bałkańską, zainicjował wreszcie rozwój przemysłu.

Atatürk wspominany jest przez ziomków z wielkim nabożeństwem, nie znaczy to jednak, że wszystkie jego przykazania i reformy znalazły kontynuatorów.

W Turcji nigdy podobno nie było spisu ludności. Mówi się, że kraj liczy czterdzieści milionów, ale gdyby okazało się, że liczy czterdzieści pięć, nikt by się specjalnie nie zdziwił. Powierzchnię lasów tureckich obliczało się do niedawna na siedem procent całego obszaru, ostatnio jednak, w związku z planami wybudowania trzech dużych celulozowni, przeprowadzono przy udziale zagranicznych specjalistów dokładniejsze pomiary i... wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania: lasy zajmują osiemnaście procent obszaru.

Turcja bardzo liczy na swoje drzewo. Z chwilą powstania celulozowni stanie się przecież krajem samowystarczalnym w papier, ba, będzie go mogła nawet eksportować. Marzenia o industrializacji — wyjątkowo zgodne z wizjami Atatürka — zasadzają się także na rafineriach, tu jednakże sprawa jest ciężka... Do kogo należeć będą złoża ropy naftowej, odkryte u wybrzeży wysp greckich i Cypru? Turcja nie myśli z nich rezygnować, a Grecja odrzuca myśl o jakimkolwiek podziale; nie należy zatem oczekiwać szybkiego zakończenia konfliktu.

Kwestia własnych inwestycji przemysłowych jest nakazem chwili. Kraj szarpie się w impasie handlowym, rośnie bezrobocie. Około stupięćdziesięciu tysięcy Turków przebywa poza granicami, gdzie pracują jako gasarbeiterzy. Większość z nich wraca; dostarczają pieniądze, zakładają małe warsztaty drobnousługowe — szewskie, krawieckie, piekarnicze, przywożą maszyny i sprzęt, mają bezwzględne pierwszeństwo lokowania swoich kapitałów w przedsiębiorstwach państwowych. Nie rozwiązuje to jednak spraw zasadniczych, podobnie jak nie rozwiąże ich jedna czy dwie elektrownie i kilka budowanych ostatnio fabryk.

Turcja żyje w dużej mierze z turystyki. Ma pod tym względem pewne tradycje, no i rzeczywiście jest tu co pokazać. Każdy kto widział Efes — jego świętynie, amfiteatry i ciągnące się kilometrami ruiny starożytnego miasta — musi siłą rzeczy patrzeć z przymrużeniem oka na Akropol i inne tego typu zabytki. A przecież poza Efezem jest tu jeszcze Pergamon, Edrina, Istambuł, Bursa, Troja, Antalia, Adana, Antakja. Ankara, Mardin i kilkanaście innych miejscowości, z których brzmieniem dobrze zdążyły się oswoić ludzkie uszy.

Turcja to również handel — głównie z Niemcami Zachodnimi, Wielką Brytanią i Ameryką.

Turcja to również narkotyki. Stany Zjednoczone zgodziły się płacić haracz rządowi tureckiemu w zamian za zlikwidowanie wielkich plantacji maku. Przez jakś czas umowa obowiązywała, wkrótce jednak Turcy doszli do wniosku, że to marny interes i produkcja opium znowu rozkwitła w podziemiach. Niemal w każdej tureckiej kawiarni można sobie zamówić nargilę: ogromną stojącą na ziemi faję z otwartym kopciuchem, pojemnikiem na wodę (która ochładza dym) oraz długim, poskręcanym wymyślnie wężem. Koniec tego węża zakończony jest drewnianym ustnikiem. Wkłada się go między zęby i się ciągnie — w jednych lokalach za trzy liry, w drugich za cztery, a w trzecich, najbardziej ulubionych i podłych, za osiem... Trochę to nielogiczne, ale okazuje się, że wachlarz cen zależy od jakości tytoniu. Tytoń może być prosty i podrasowany. Prosty jest ogólnie dostępny, podrasowany dostaje się tylko ludziom, których dobrze zna właściciel kawiarni i którzy nie sypną... Obserwowałem człowieka, który w ciągu dwu godzin wypalił trzy takie fajki. Zmiany zachodziły stopniowo ale nieubłaganie: rysy twarzy rozlały się, oczy zmętniały przybierając wyraz nieziemskiego spokoju i rozkoszy, ciało na krześle zwiotczało... Sołukał wreszcie usta naoarsteczkiem kawy i zasnął, a nargila powędrowała do innego konesera, któ-

ry nie przecierając nawet ustnika, od razy zaczął zasysać.

Przywiozłem z sobą do Polski numer Turkish Daily News, który na tytułowej stronie donosi o triumfie ankarskiej policji w zakresie zwalczania narkomanów. Tekst włamany jest pomiędzy dwa zdjęcia. Pierwsze przedstawia zajętą przez dzielnych funkcjonariuszy fabrykę opium (różne flaszeczki, słoiczki, fiolki, destylatory, waga, trochę ostrych narzędzi) natomiast drugie — przyskrzynioną, austriacko-turecką bandę producentów i konsumentów. Niektórzy z tych młodych długowłosych ludzi zasłaniają twarze, inni odwracają głowy, jeden bezczelnie się uśmiecha. Gazeta podaje ich nazwiska oraz pewne szczegóły ich działalności. Nie tylko opium, także morfina i heroina stanowiły przedmiot ich laboratoryjnych dociekań. Zaprawdę — policja ma uzasadnione powody do dumy...

Ale ja nie wierzę w turecką policję, podobnie jak nie wierzę w celników, kontrolerów i cały umundurowany aparat władzy. Moja niewiara wypływa nie tylko z nasłuchów i lektury, lecz — i to przede wszystkim — z bezpośrednich obserwacji, świadczących o tym, że mamy tu do czynienia z siłami skorumpowanymi i głęboko zdemoralizowanymi. Celnik gotowy jest z miejsca zamknąć turystę za przemycenie do miasta kartonu papierosów albo butelki alkoholu, ale ten sam celnik, jeśli tylko nie ma świadków, gotowy jest robić z cudzoziemcem najczarniejsze interesy — kupować od niego po zniżonych cenach ów alkohol i papierosy, pomagać mu za opłatą w wynoszeniu towaru do miasta. Celnik z jednej strony zwalcza rodzimą kontrabandę, z drugiej — jeśli tylko nie ma świadków i czuje interes — potrafi dopuścić ją do spółki, korzystać z jej środków transportu i po złodziejsku dzielić się zyskiem. Widziałem wysokich urzędników celnych objuczonych jak woły — za pasem, dokoła, flachy, w kieszeniach i za skarpetkami drobniejszy szmugiel. Wszystko to przykryte mundurem w naiwnym przekonaniu, że podwładny nie widzi, ten zaś czeka tylko, aby przełożony zniknął za bramą i zaraz zrobi to samo...

Policja gra trochę inaczej. W pierwszym rzędzie każdy taki szuka haczyka, którym mógłby cię wciągnąć do ciasnej ulicy, zaszantażować (powiedzmy, że masz przy sobie pornograficzne zdjęcia) i wypatroszyć — nie tylko z tych zdjęć (wielki to w Turcji rarytas; każdy turecki celnik i policjant pyta przede wszystkim o „świerszczyki", przy czym mruży obleśnie oczy i obiecuje ci piękny zysk), ale również z innych drobiazgów i pieniędzy. Jeśli haczyka nie znajdzie, idzie z tobą na przyjaźń — proponuje ci handel wymienny, burdel w zaułku, coś specjalnego do palenia; masz wrażenie że za dziesięć dolarów sprzedałby ci nawet państwowe tajemnice albo poradził, gdzie najlepiej się włamać. Wedle bardzo wiarygodnych wieści — policja czerpie z narkotyków zbyt duży profit, by chciała je naprawdę zwalczać. Dlatego też rewelacje z Turkish Daily News wydają mi się publicznym mydleniem oczu.

Strajk śmieciarzy, od którego zacząłem reportaż, miał także cechy alegoryczne. Turcja jest rzeczywiście zaśmiecona, pełna konfliktów, nieładu i sprzeczności, które paraliżują normalne życie kraju. Jak by nie brać: nawet kosztem pewnych kompromisów i strat — brudy trzeba sprzątać, zanim wiatr rozniesie je po świecie ku sromocie i nieszczęściu ludzi.

OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

Do dzieci nie chce wracać. Szybko wydoroślała. Co tu jest zresztą do gadania?

— Dowodu jeszcze nie mam, a pan jak ze zgredem! Osiem klas podstawówki skończyłam w Domu Dziecka. Pięć lat miałam kiedy poszłam do DD w Porszewicach. Potem przenieśli mnie do Zduńskiej Woli, po czterech latach i tak do dziś. Poszłam do tego DD., bo ojciec jest ratalnik. Życie na raty spędza w ciupach. Matkę pozbawiono praw rodzicielskich...

— Za co?

— A bo ja wiem? Za coś tam, pewnie za kurewstwo. Ojca nie pozbawili praw, bo akurat siedział w więzieniu. On dostał mieszkanie na pięć osób to i dla mnie było tam miejsce, prawda? W 73 byłam u ojca na wakacjach. W zeszłym roku nie miałam do kogo przyjechać...

Któż miał ją przyjąć? Był brat Andrzej, kawaler lat 22, który miał się opiekować, ale rzucił robotę w chemii i zbisurmanił się, leniwiec. Dowiedział się jedynie od ojca kochanki, Mani, że stary siedzi w Bydgoszczy. Stary jest świnia. Raz wykorzystał żonę sąsiada przyjaciela, a potem postawił ją przed przyjacielem i chcichocząc wyjaśnił, co z nią zrobił. Jedną zgwałcił, pobił i wyrzucił po tygodniu na zbity pysk. Ostatnio wyszedł z „Powszechnej" za kumplem, z którym pił. Dopadł go, zabrał stówę, pobił. Głową leżącego w mur walił, a gdy usłyszał krzyk kobiety — świadka, szybciutko wstał i wrzasnął do pobitego: — A do roboty weź się, chamie, nie ludzi spokojnych w nocy napadać.

Za ten czyn 12 kwietnia zeszłego roku dostał cztery lata.

— Na wakacje wzięła mnie za zobowiązaniem obywatelka Niewidka, mężatka z dwojgiem dzieci. Była umowa, że będę przebywać u niej cały czas, ale po dwóch tygodniach Niewidka odwiozła mnie do DD. Pewnie jej się nie opłacał taki interes. Uciekłam z DD. Miałam jeden klucz do mieszkania, więc zamieszkałam na Kopernika. Wzięłam na mieszkanie koleżankę Duśkę, która pracowała w pegeerze. Ona mieszkała u mnie dwa miesiące i żywiła mnie. Przywiozła mi coś do jedzenia na kolacje i śniadania. Czasem zachodziłam do jednego domu przy ul. Nowotki bo tam mieszkała moja matka. Wściekała się, że jej przeszkadzam, ale nieraz dała mi obiad. Potem zaczęłam utrzymywać szerokie kontakty z mężczyznami, na przykład ze Zbychem, lat 17. Bogdanem, lat 19, z Misiem kawalerem też, oraz Stanisławem Prusiem po rozwodzie za pijaństwo, który niedawno wyszedł z więzienia. Oni mieli czas, bo nie pracowali. Zmieniali się, przychodzili po 2—3, przynosząc wino i wódkę. Pili, spali w mieszkaniu, i tak z nimi żyłam, bo było co jeść...

2.

Pod koniec października Dzidka spotkała na ulicy Donalda. Bardzo jej się podobał, ponieważ przystojny był i litościwy.

— Ty to jesteś z dobrej rasy, ale zamorzona — powiedział. — Tobie trzeba witaminy jakiej.

— Jeść mi się chce — powiedziała Dzidka.

— A norę masz jakąś?

— Mam.

— To gra muzyka, panie dzielnicowy! Idziemy.

Odtąd Donald często przychodził na Kopernika. Jak trzeźwy to sam, a kiedy na cyku, to z pijaną świtą. Dnia pierwszego listopada wpadł sam i postawił na stole dwa wina.

— Zaplute są twoje młode lata, Dzidzia — powiedział.

— Rozcieńczymy ten brud życia naszego, Dzidzia, urokliwy świat będzie!

Kiedy rozmarzyli się po dwóch winach, Donald powiedział:

— Picu pic, nie ma nic, koniec ciuciubabki!

Kochali się z Dzidką jak dwa waryjaty.

Po pięciu dniach Donald przyszedł z Ryśkiem, obaj mocno podpici. Siedli z Dzidką w kuchni za stołem i zaczęli gadać świństwa o miłości spółdzielczej. Na to Dzidka wyszła z pokoju. Na to Donald krzyknął wesoło:

— Na nic dąsy, idziem w pląsy! Przyszła pora na Amora, zrzucaj się ze szmat!

— Przecież was jest dwóch — przestraszyła się Dzidka.

Donald bardzo się wnerwił przez to głupie gadanie. Zrobił Dzidce narkozę dwoma sierpami w twarz, po czym chwycił ją za ręce i przytrzymał, a Rysiek sprawnie ściągnął z niej spodnie. Donald zaciągnął ją na tapczan, a jak skończył, to zaczął Rysiek. Nie mogła się bronić, bo Donald w trakcie trzymał ją za ręce. Rysiek zaraz sobie poszedł, Donald został na noc, ponieważ w mieszkaniu na Kopernika miewał dobre sny. Lubił się bawić w rozbierankę.

Brat Andrzej patrzył na to wszystko i nic. Wnerwił się dopiero po czasie. Albo przestraszył się, że jego też mogą przymknąć.

— Przychodzili do naszego mieszkania o każdej porze nocy i dnia. Donald z kumplami, bijąc i trzymając siłą, zmuszali siostrę do oddawania się. Kiedy byli pijani, to kazali mi wychodzić, a oni z Dzidką. Raz uciekła do mnie do kuchni. Donald z Peterem wzięli ją za ręce i nogi i przenieśli na tapczan. Rozebrali ją i oni też całkowicie rozebrali się. Donald powiedział do Petera, żeby zaczynał, i odbywali z nią stosunek kolejno.

Bałem się odzywać, ponieważ straszyli że mi wyrządzą przykrość bolesną. Nie otrzymałem od nich żadnych pieniędzy, toteż chcę, żeby skradzione z mieszkania rzeczy wróciły na miejsce. Obecnie ja opiekuję się siostrą, więc marzę, aby sprawców ukarać srogo za kradzieże i gwałty. Wiele było tych przypadków, rozlicznie wiele....

Bardzo dobrze mówił brat Andrzej po czasie...

3.

W październiku Dzidka dostała list od ojca. Dzidka ten list dała kochance ojca, Broni z Chechła, aby go przekazała kochance drugiej, czyli Mani. Ojciec słał z kicia dyrektywę:

KONIEC

telewizorek schować w szafie, bo przyjdze łapiduch i zabierze. Na myśli miał komornika. A potem elektrownia odcięła prąd, gdyż inkasent nie mógł wydębić opłat ani też dotrzeć do licznika. A jak nie było prądu, to wiele rzeczy stało się niepotrzebnych w tym mieszkaniu. Ziąb trząsł, chciało się jeść Dzidka milczała, ale w końcu wyspowiadała się serdecznie przed Donaldem. Olśniło aż Donalda! Jakby dopiero co wszedł do mieszkania.

— My ci to załatwimy, Dzidzia — powiedzał rzucając okiem fachowca po sprzętach elektrycznych i zmechanizowanych.

Tak się ucieszył, że po dwóch dniach przyprowadził dwóch kolegów, pijanych jak on sam. Była godzina dwudziesta trzecia.

— Chcesz, Dzidzia, żreć? — spytał Donald. — Wiem, że chcesz. I mamy ci załatwiać te różne interesy, tak? Ewką nam staniesz na stoliku i prosić będziesz, a załatwimy w mig!

Zaczęła uciekać wokół stołu, ale tamci wyszli z dwóch stron, chwycili ją za ręce, Donald rozbierał. Gdy zrobił swoje, spytał, kto następny...

Mówi bez krztyny zawstydzenia:

— W mieszkaniu było ciemno, to nie wiem, kto następny. Donald trzymał za ręce, drugi za nogi, trzeci gwałcił. Potem

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Fot. G. Puciato

Urodził się 11 listopada 1920 r. w Kielcach. Tam też ukończył gimnazjum. W okresie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu oraz w ruchu oporu jako żołnierz BCh. Po wyzwoleniu zamieszkał w Łodzi: tutaj ukończył studia socjologiczne i pracował jako publicysta w tygodniku „Wieś". Był redaktorem naczelnym tygodnika „Odgłosy" oraz dyrektorem Wydawnictwa Łódzkiego. Obecnie piastuje funkcję prezesa łódzkiego oddziału ZLP oraz pracuje jako redaktor literacki w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia. Wielokrotnie nagradzany za działalność społeczną oraz publicystykę i twórczość. Jest posiadaczem m.in. Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski, Medalu Komisji Edukacji Narodowej oraz odznaki „Zasłużony dla Kielecczyzny".

Debiutował w 1945 roku na łamach „Wsi" jako publicysta i przez następnych jedenaście lat uprawiał wyłącznie publicystykę, częściowo zebraną w tomie reportaży pt. „Nauczyciele na wsi" (Iskry 1955). Na znacznie obfitszy i ciągle rosnący dorobek Jażdżyńskiego — prozaika składają się: debiut powieściowy pt. „Okolica starszego kolegi" (WL 1960 i 1967), opowiadania o walce z reakcyjnymi bandami na terenie Łodzi i województwa pt. „Umarli nie składają zeznań" (WL 1961), powieść pt. „Nie ma powrotu" (WL 1963), poświęcony męczeństwu dzieci łódzkiego dziecięcego getta „Reportaż z pustego pola" (WL 1965) oraz powieści „Świętokrzyski polonez" (Czytelnik 1965 i 1966), „Między prawdą a chlebem" (WL 1966), „Sprawa" (Czytelnik 1969), „W ostatniej godzinie" (Czytelnik 1971) oraz „Pojednanie" („Śląsk" 1974).

Jażdżyński jest nadto autorem kilku książek dla młodzieży: „Pomnik bez cokołu" (MON 1971), Czuwajcie w letnie noce" (WL 1972) oraz „Ściśle tajne" (WL 1974).

U podstaw pisarstwa W. Jażdżyńskiego tkwią trojakiego rodzaju inspiracje: socjologiczne studia, wpływ łódzkiego życia literackiego w pierwszych latach po wojnie m.in. intelektualne promieniowanie „Kuźnicy", publicystyczna praca w redakcji „Wsi". Nie bez znaczenia okazała się także osobowość redaktora naczelnego tego periodyku — Jana Aleksandra Krola. Ponadto kilkunastoletnia praca reportera i publicysty dała Jażdżyńskiemu znajomość wielu środowisk i spraw współczesnego polskiego życia.

Jako powieściopisarz zadebiutował Jażdżyński na poły biograficzną środowiskową i wspomnieniową książką pt. „Okolica starszego kolegi". Jest to opowieść o jego własnej szkole — gimnazjum kieleckim z lat 1937 — 39; rzecz osnuta melancholią przemijania i mgłeką wzruszenia. Poprzez dziecinną rywalizację „arystokratów" i „demokratów", poprzez naiwne sprzysiężenie Błękitnych Rycerzy ukazał autor proces ideowego dojrzewania młodzieży. Powieść rozgrywa się na terenie związanym bezpośrednio z Żeromskim i jego twórczością, co znajduje odzwierciedlenie tak w realiach jak i w klimacie emocjonalnym tej książki: urzekającej dla średniego pokolenia kielczan, lecz sympatycznej także dla postronnych odbiorców.

Druga powieść Jażdżyńskiego pt. „Nie ma powrotu", stanowiąc w sensie chronologicznym przedłużenie „Okolicy", jest zarazem wprowadzeniem w problematykę wojny, partyzantki i tajnego nauczania. Posiada kompozycję dwuwątkową: losy Justyna, nauczającego synów artystokracji, przeplatają się z losami Socjalisty, „profesora" tajnego gimnazjum BCh. Książka sugestywnie odtwarza trudy i niebezpieczeństwa nielegalnego kształcenia. Poprzez wprowadzenie do akcji powieści postaci reprezentujących różne podziemne ugrupowania wojskowo-polityczne ukazał autor konflikty je dzielące oraz powiązania między nimi. Dał próbę charakterystyki tego najbardziej skłębionego i skomplikowanego rejonu okupacyjnego na ziemiach polskich.

Następna w chronologicznej kolejności powieść Jażdżyńskiego pt. „Świętokrzyski polonez" stanowi kontynuację wątku biograficznego. Jej osią fabularną jest problem edukacji ideowej i życiowej syna przedwojennego pułkownika — Justyna Swoszowskiego. Powieść zarysowuje obraz rewolucyjnych, polityczno-społecznych i gospodarczych przemian, dokonujących się w kraju w latach 1944-47. Oddaje także moralne i myślowe rozterki towarzyszące aktom ideowego wyboru. Autor zawarł tu cenny od strony poznawczej obraz dziejów Ziemi Kieleckiej poprzez pieczołowity zapis jej pamiątek, tradycji, pejzażów etc.

Powieść następna pt. „Między prawdą a chlebem" rozgrywa się na dwóch planach: teraźniejszym i przeszłym. Ideą jej — walka z oportunizmem i próba ocalenia młodości, podjętej jako aktywny i twórczy stosunek jednostki do świata. Na planie retrospektywnym należy wskazać bogatą mozaikę postaw politycznych młodzieży studiującej w pierwszych latach po wojnie oraz trafną charakterystykę wypaczania osobowości młodych poprzez indoktrynację tzw. kultu jednostki. Na planie teraźniejszości powieść tę można odczytać jako pamflet na karierowiczostwo, obłudę i oportunizm.

Powieść „Sprawa" rozgrywa się także na dwóch (tych samych zresztą) planach czasowych. Po dwudziestoletniej nieobecności bohater — narrator wraca do kieleckiego Miasteczka, by rozwikłać genezę intrygi, która spowodowała najpierw jego wyjazd, a potem partyjne dochodzenie w miejscu pracy. Z Miasteczkiem wiąże bohatera wspomnienie walk w plutonie BCh oraz miłość do sanitariuszki plutonu, Marii. Sprawców intrygi upatruje w kolegach z leśnego oddziału, stąd też dręczy go nieufność i moralny niepokój o wierność i lojalność dawnych towarzyszy broni. Retrospektywne odtwarzanie dawno minionych wydarzeń początkowo nie przynosi pożądanego rezultatu i bohater poczyna wątpić we własne zdolności poznawcze, przestaje też rozumieć ludzi. Samotność, podejrzliwość i brak zaufania do innych ludzi sprawiły, że świat stał się dlań ciemnym labiryntem, a rzeczywistość zmieniła się w grę pozorów. W swej części pierwszej powieść daje przejmujący obraz spustoszeń, jakich dokonują doznane krzywdy w psychice pokrzywdzonego. W części drugiej rekonstrukcja sprawy Wojciecha przy życzliwym udziale kolegów z plutonu dochodzi do pomyślnego rozwiązania: nikt z kolegów nie dopuścił się zdrady wobec niego. Dawna jedność została zachowana, ocalała wiara bohatera w ludzi oraz jego poczucie moralne. Przedstawiono tutaj również z melancholijnym dystansem obawy bohatera przed starzeniem się oraz tłumione przez niego pragnienie „odmłodzenia się" przy boku młodzieżowej Ilony, córki sanitariuszki Marii. Znaczną rolę w tej książce odgrywa także wątek autotematyczny, obnażający związki między literaturą a życiem.

Powieść „W ostatniej godzinie" reprezentuje typ powieści — ballady, nasyconej silnie reminiscencjami lektur z literatury polskiej. Jest to próba odnowienia dawnej formuły popularnego romansu poprzez wykorzystanie poniechanych przez literaturę współczesną motywów i balladowe potraktowanie klasycznych wątków wojenno-partyzanckich. W drugiej części powieści ton epicki bierze górę nad balladowym i otrzymujemy wyrazisty obraz partyzanckiej Kielecczyzny: dokładniej niż poprzednio jawi się przed czytelnikiem dramat moralny żołnierzy AK, egoizm arystokracji i szlachty, techniczno — taktyczna strona operacji partyzanckich oraz ostra walka propagandowa między agendami NSZ a PPR.

W podobnym kręgu tematycznym mieści się też „Pojednanie", powieść nagrodzona na konkursie literackim, zorganizowanym z okazji 30-tej rocznicy powstania PPR. Akcja utworu toczy się w latach wojny i bezpośrednio po wyzwoleniu oraz w latach 70-tych. Mimo realistycznego zamysłu autora nie w fabularnej ilustracyjności (w której dopatrzeć się można pewnych niedoskonałości) szukać by należało tropu rzeczywistych ambicji pisarskich Jażdżyńskiego. Tkwią one raczej w nieustannym konfrontowaniu różnych racji ideologicznych, jakie stają na drodze duchowej polskiego inteligenta poszukującego wartości i szansy „pojednania" z otaczającym go światem konfliktów i sprzeczności. U podstaw intelektualnych tej prozy znajduje się kilka tradycyjnych pytań Żeromskiego, pytań o miejsce i rolę inteligencji. Nazwisko autora „Ludzi bezdomnych" nie po to tu się pojawia, by zaświadczyć miało walory tej prozy, czy też określić jej rangę, lecz dla zlokalizowania jej myślowej specyfiki, silnie jednak obciążonej tradycją.

Kieleckie lata młodzieńcze, opromienione kultem i realiami pisarstwa S. Żeromskiego pejzaż Ziemi Kieleckiej, wojna, okupacja i partyzantka, trudne lata odbudowy i walki z reakcją, sprawy wielkie i małe państwa ludowego — oto zasadnicza problematyka pisarstwa W. Jażdżyńskiego. Jego warsztat pisarski ulega stałej ewolucji: obserwujemy ją w zmniejszającej się roli techniki dokumentalnej na korzyść fikcji literackiej, w umiejętnych manipulacjach konwencjami prozy nowoczesnej, w doskonaleniu techniki kompozycyjnej oraz w ambitnym dążeniu do unowocześnienia narracji.

W zakresie stylu pozostaje on również wierny wartościowej tradycji literackiej: pisze dobrą, soczystą polszczyzną, włada stylem sprawnym, lekkim i eleganckim. W jego twórczości dominuje sensualistyczna fascynacja, zachwyt nad urodą świata. Dlatego tak łatwo tworzy on obrazy o urzekającym nastroju oraz daje dowód umiejętnego czerpania z kulturalnego dziedzictwa. Nadaje to stylowi prozy Jażdżyńskiego żywość i bezpośredniość, jasność, i klarowność — wartości klasyczne, które były i zawsze będą w cenie.

JÓZEF DUK

TEATR

JAK TRUDNO MYŚLEĆ AKTOREM

W strukturze dramaturgicznej „Henryka VIII" W. Szekspira jest coś wyjątkowego i wyróżniającego tę kronikę dramatyczną spośród innych szekspirowskich kronik. Żadna z pozycji nie zbiera w sobie tak wielu zróżnicowanych wątków. Rzec by można, że jest to jedyny „syntetyzujący" dramat Szekspira, któremu nie udało się utrzymać do końca założonej kompozycji strukturalnej. „Henryk VIII" jest bowiem dramatem wielojstych postaw: Katarzyna, Wolsey, Anna Boleyn, Buckingham itd., itd.

Reżyser przedstawienia w Teatrze Nowym, **Jerzy Goliński**, dokonał zabiegu adaptacyjnego (w spektaklu wykorzystał tylko trzy pierwsze akty), dokonując jednocześnie wyboru idei. W centrum swego spektaklu postawił kardynała Wolseya, aby zająć się problemem władzy w świecie hierarchii feudalnej. Stąd ów wyeksponowany podtytuł „Henryka VIII" „wszystko to prawda". Oto prawdziwa historia, w której biorą udział wszyscy powołani przez Szekspira i reżysera do przedstawiania dziejów kardynała Wolseya i walczących z nim o władzę dworzan Henryka VIII.

Aby podkreślić tę koncepcję **Urszula Kenar** zaprojektowała scenografię prostą architektonicznie i niezmiernie sugestywną w barwie. Szara materia, która zagospodarowuje scenę, szare kostiumy aktorów, zielonkawy labirynt strzyżonych ogrodów rozpisanych na podiodze sceny i amarantowe insygnia władzy łączą się z bachanaliami na, równie intensywnym w barwie, ogromnym dmuchanym materacu, gdzie rodzi się intryga; to w dół, to w górę idą ludzkie losy. Gdzie damy dworu w sukniach koloru władzy, mają chwilową (?) władzę nad Królem i jego dworską kamarylą. Scenografia wnosi tym razem metaforyczny akcent budując labirynt, którym z trudem brną aktorzy, a barwie nadając nowe wartości językowe. Urszula Kenar i Jerzy Goliński związali aktora, ograniczyli jego możliwości ruchu scenicznego, wybrali tylko to, co było im potrzebne do spektaklu. Ale pełna konsekwencja, niemal matematyczna dokładność przedstawienia rekompensuje tę konwencję. Można dyskutować z nią, nie akceptować całej kompozycji, ale precyzji w wykonaniu reżyserowi odmówić nie można.

Po tym spektaklu, jakże trudno myśleć o aktorze, o jego twórczości. I jak łatwo oddzielić tegoż aktora od całości spektaklu, osadzając go we własnym widzeniu „Henryka VIII". Nie można przecież grać Szekspira bez aktorów. Precyzja bowiem przedstawienia Jerzego Golińskiego odnosi się także i do aktorów.

Król Henryk VIII **(Bogusław Sochnacki)** nie jest bohaterem sztuki ani spektaklu; jest poza mechanizmami, jest demiurgiczny, ale nie kieruje losem, ponieważ sam nim jest. Bogusław Sochnacki rozumie to i dlatego przyjmuje „rolę" bawiącego się demiurga. Żongluje ludźmi, ustawia ich, jak pionki na szachownicy życia czy w labiryncie życie. Aktor obrazuje to przede wszystkim za pomocą nadmiernie i pozornie nie skoordynowanego ruchu i gestyki. Manieryczny krok na lekko zgiętych nogach, szeroko zarysowany gest ręki itp.

Bardziej tonowane są pozostałe dramatis personae. Kardynał Wolsey **(Wojciech Pilarki)** konsekwentnie stara się wpływać na „kaprysy" demiurga, jest napuszenie śmieszny i groźny zarazem, jest człowiekiem walczącym o władzę, jak inni równie mało wyrazisty, jakby szary od środka, zimny i matematycznie dokładny. Ta dokładność wreszcie go zgubi. Wojciech Pilarski stosuje gest ściągnięty, oszczędny, podporządkowany topografii świata kreowanego, jest sterowany przez „los".

W tym przedstawieniu nie ma jawnych protagonistów. Wszyscy mają jeden cel, władzę. Wszyscy są pionkami i Król — demiurg — los i Wolsey, łudzący się władzą, i kardynał Kamonejusz **(Mieczysław Voit)**, i książę Buckingham **(Zbigniew Józefowicz)**, i królowa Katarzyna **(Barbara Horawianka)**, i Anna Boleyn **(Mirosława Marcheluk)** itd. Wszyscy wreszcie są pionkami w ręku reżysera i scenografa, których precyzja koncepcji jest uchwytna i przejrzysta. A aktor? Ileż w nim niespełnionej i podporządkowanej aktywności twórczej, ileż niezawinionej niemożności. Jakże trudno myśleć aktorem.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

William Shakespeare „Henryk VIII" czyli wszystko to prawda", przekład: Zofia Siwicka, reżyseria: Jerzy Goliński, scenografia: Urszula Kenar, muzyka: Marek Wilczyński, prapremiera polska w Teatrze Nowym w Łodzi, dnia 10 stycznia 1975 r.

TELEWIZJA

WALTER PRZEDSTAWIA

Mariusz Walter jest bez wątpienia jednym z najbardziej pomysłowych i oryginalnych animatorów polskiej telewizji. To nie tylko znakomity dokumentalista, autor takich, wielokrotnie nagradzanych filmów krótkometrażowych jak „Autobus z napisem: „Koniec" (reportaż z Wyścigu Pokoju) czy „Pierwszy... szósty" (dokumentalna relacja z ostatniego Konkursu Chopinowskiego), ale również inicjator pełnych inwencji programów telewizyjnych, które zdobywają następnie wielką popularność, by wymienić choćby „Wszystko za wszystko".

Już z tego pobieżnego rejestru filmowo-telewizyjnych poczynań Waltera wynika, że interesuje go człowiek w sytuacji konkurencyjnej. Moment rywalizacji tworzy nie tylko emocjonalną logikę przekazu, ale także odsłania ludzką osobowość w chwili intensywnego przeżycia. Sądzę, że te dwie okoliczności całkowicie wystarczają, aby złożyć się na spektakl prawdziwie pasjonujący. Taki właśnie, jakim jest kolejny program Mariusza Waltera „Progi i bariery".

Pozornym celem tej audycji jest kreacja „telewizyjnego człowieka miesiąca". Jest to cel pozorny, bowiem z tej kreacji niewiele wynika oprócz złych skutków telewizyjnej popularności, które opisał KTT w ostatniej „Kulturze". Celem istotnym jest widowisko, jest show. Jego reguły w wydaniu telewizyjnym Walter opanował bezbłędnie. Poetyka tego spektaklu, jego dramaturgia jest starannie wyznaczona i zaprojektowana przez zespół chwytów o charakterze technicznym i przez rozdanie ról uczestnikom. Reszta jest przypadkiem i on decyduje tutaj o wszystkim w ostatecznym efekcie. Warto dodać, że ekscytującego charakteru tej grze nie brakuje również dzięki bezpośredniej transmisji.

Tytuł programu jest mylący. Sugeruje on wymiar propagandowo-dydaktyczny całości. Ten tytułowy serwitut zasłócał niekiedy naturalną potrzebę ekspresji startujących, np. lutnik-amator miast mówić o swojej miłości do instrumentu, dość szybko znudził jurorów opowieścią swego życiorysu najeżonego dość w końcu typowymi „progami i barierami". Dowodem na to, że żywioł ludyczny wyprze niebawem pewne intencje wyższej użyteczności publicznej jest zwycięzca ostatniego programu. Jego działalność posiada charakter społecznie wartościowy ale przecież jedynym i rozstrzygającym argumentem na jego korzyść był malowniczy styl bycia tego małomiasteczkowego komendanta straży pożarnej, który na oczach milionów pełen zabawnego uniesienia i fanfaronady przeżywał swoje wielkie czternaście minut.

W ogóle widowiskowa malowniczość programów Waltera wynika z prezentacji postaci egzotycznych. Oto niewiarygodnie wygimnastykowany starzec wykonujący w milczącym skupieniu skomplikowane ćwiczenia jogi. Oto emeryt, który z chłopięcym przejęciem opowiada o swoich modelarskich pasjach. Oto para starych kawalerów przedstawia niezwykle rytuały obyczajowe stowarzyszenia, które reprezentują. Oto iluzjonista wygłasza „naukową" klasyfikację magii. Ta galeria postaci jest nieco nadrealna. Jej uczestnicy zdają się materializować nasze tęsknoty, wyobrażenia, przeczucia. Bowiem niemal wszyscy oni stworzyli sobie pewne enklawy istnienia o charakterze bezinteresownym wobec przyziemnych konieczności potocznego życia, którym my wszyscy, przeciętni zjadacze chleba mazowieckiego z masłem, podlegamy.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

„KORESPONDENCJE ZAGRANICZNE"

W korespondencji z zagranicy („Odgłosy" nr 5) Ludwik Świeżawski pisze na temat Szwajcarii: „Nie trzeba zapomnać i o Polaku, Patku, zapewne Patyku, emigrancie po 1831 roku, który rzucony w nowe, trudne warunki życia, z pracy własnych rąk stworzył z czasem wielki zakład zegarmistrzowski w Genewie..." Koniec cytatu.

O Antonim Patku (ur. 1811 — zm. 1877) rzeczywiście nie trzeba zapominać — i nikt nie zapomina. Nie trzeba natomiast dorabiać mu „patykiem pisanego" nazwiska, bowiem ów podporucznik z powstania listopadowego nazywał się właśnie Patek. A światowej sławy firmę stworzył nie tyle „z pracy własnych rąk", co z wynalazku wspólnika — Francuza, Adriana Philippe, który był twórcą tzw. naciągu główkowego w zegarku. Będąc w Szwajcarii, nietrudno się przekonać, że firma Patek — Philippe istnieje do dziś.

Wiadomości te można znaleźć w ogólnie dostępnej Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN.

Druga sprawa. Również w korespondencji z zagranicy, w tym samym numerze „Odgłosów" Andrzej Makowiecki pisze z Syrii: „Islam jest drugą religią świata".

Otóż nieprawda. Jest trzecią — po buddyzmie i chrześcijaństwie — religią świata. Dalej pisze A. Makowiecki, że islam „liczy obecnie około trzystu pięćdziesięciu milionów wyznawców". Też nieprawda, bo liczy 400 milionów...

Podobnie jak i w pierwszym wypadku, wiadomości te można znaleźć w ogólnie dostępnej Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN.

Z poważaniem
Andrzej Kołodziejczyk
(Łódź)

„HONORATKA"

Niedawno w artykule p. Widoka przeczytałam żarliwą obronę kawiarni „Honoratka". Nie rozumiem, w czyim imieniu p. Widok występuje — i co kogo obchodzi likwidacja jakiejś kawiarni. A jeśli tam założą sklep pasmanteryjny, to i lepiej — bardziej jest potrzebny sklep niż kawiarnia, w której przesiadują różne panie.

U nas na osiedlu zlikwidowano niedawno jeden sklep PSS i wtedy p. Widok nie pisał o tym, a nad kawiarnią się rozczula. Dla p. Widoka „Honoratka" jest jakąś tam tradycją, dla mnie jest to po prostu gastronomia. I po co łączyć gastronomię z tradycją?

Helena Pawlusiak
Łódź

„HONORATKA"

Jak się dowiadujemy z Wydziału Handlu Urzędu Miasta, władze podjęły decyzję o utrzymaniu kawiarni „Honoratka" w jej obecnym stylu, z zachowaniem dotychczasowego wystroju i charakteru lokalu bezalkoholowego. Zarząd nad kawiarnią „Honoratka" sprawować będzie Łódzkie Przedsiębiorstwo Przemysłu Gastronomicznego.

„Honoratka" będzie częścią składową centrum gastronomicznego miasta, centrum, które ma zostać utworzone przy ul. Moniuszki w latach 1975-1980. Lokal zostanie powiększony o sąsiednie pomieszczenie, zajmowane obecnie przez Narodowy Bank Polski.

UWAGA NA LALKI!

Byłem niedawno z córką w „Arlekinie" na widowisku pt. „Polska szopka ludowa", do której bardzo ładną oprawę zaprojektował Wacław Kondek. Piszecie dużo o teatrze, ale dlaczego nie uwzględniacie również tematyki teatru lalkowego?

Teatr lalek odgrywa ogromną rolę, przygotowując przyszłych widzów dla teatru aktora. Częstsze uwzględnienie tematyki teatru lalkowego na łamach „Odgłosów" pomogłoby nie tylko aktorom, ale i rodzicom, którzy chcieliby uczyć swoje dzieci kontaktu z teatrem.

Zenon Maciejak
Łódź

KOREKTA

Stwierdzam z przerażeniem, że wasz sprawozdawca sportowy, red. Bogda Madej, zaczęła się ostatnio zajmować sprawami komunikacji i organizacji ruchu kołowego w mieście. Nie przeczę, jest to sprawa ważna i, jak pokazała praktyka, interwencje prasowe przyczyniły się do korekty wprowadzonych niedawno zasad.

Nie śmiem podejrzewać, że p. Bogda Madej kupiła sobie samochód i stąd zmiana jej zainteresowań. Nawet gdyby tak było, to jeszcze nie powód, aby zarzucać tematykę sportową. Czyżby w sporcie naprawdę nic się nie działo? Jestem przeciwnego zdania i bardzo żałuję, że w waszym piśmie zabrakło ostatnio tematyki sportowej.

Wacław Klimkiewicz
Pabianice

SIEROCTWO SPOŁECZNE

Bardzo dobrze, że red. Tadeusz Michalski podjął tak ważny społecznie problem, jak gehenna dzieci niechcianych i niekochanych. Warto też zwrócić uwagę, że właśnie w rodzinach marginesu społecznego, w rodzinach żyjących w najgorszych (z własnej winy) warunkach — tych dzieci jest najwięcej. Ludzie, którzy traktują obowiązki rodzicielskie z należytą troską i odpowiedzialnością, nie decydują się tak łatwo na drugie czy trzecie dziecko. To właśnie w rodzinach marginesu i przestępczości pokutuje to przysłowiowe „co rok to prorok". A my wszyscy potem musimy utrzymywać owe nieszczęśliwe dzieci, które rodziców właściwie nie mają. Dla tych dzieci rodzicami jest całe społeczeństwo, które łoży na ich utrzymanie i wykształcenie, gdy rodzice zajmują się wyłącznie sobą i... płodzeniem następnych podopiecznych Domów Dziecka.

Janina Zawadzka
Łódź

„ZIEMIA OBIECANA"

Inspiracje i pobudki, jakie skłoniły Reymonta do napisania powieści o Łodzi, niezwykły proces jej powstawania, a przede wszystkim recepcja tego „chciwie rozchwytywanego" przez współczesnych dzieła, stanowiącego wydarzenie literackie epoki o sensacyjnym niemal posmaku (do czego wybitnie przyczynił się sam autor), pobudzającego do licznych i kontrowersyjnych komentarzy i ocen, także burzliwych dyskusji — w której nie brakło również głosów łodzian — słowem to, co złożyło się na szczególny rozgłos „Ziemi obiecanej", trwale wiążąc z nią określenia głośna i słynna powieść, do dziś jeszcze jest zagadnieniem pobieżnie tylko rozpoznanym i zweryfikowanym. Ten rozległy i bardzo interesujący kontekst Reymontowskiego dzieła nie jest łatwy do krótkiego przedstawienia, stąd wypadnie ograniczyć się do niektórych tylko spraw i najciekawszych materiałów.

Do podjęcia tego żywo już współczesnych interesującego tematu zachęciło Reymonta warszawskie środowisko dziennikarsko-literackie, głównie bliskiego mu „Głosu", który pierwszy spośród pism stołecznych zaczął zamieszczać stałe korespondencje z Łodzi. Od 1891 r. autorem ich był młody dziennikarz i poeta, **Artur Gliszczyński**, ukształtowany ideowo w kręgu „Głosu" wychowanek Szkoły Handlowej Kronenberga, który osiadł na stałe w fabrycznym mieście. On to, zajmująco i barwnie, a ponadto z rzetelną znajomością przedmiotu, przedstawił „głosowiczom" przemysłową metropolię i nurtujące ją problemy. Jego korespondencje, jak również wspólnie z **Antonim Mieszkowskim** napisany dla „Wieku" obszerny reportaż **„Łódź — miasto i ludzie"** (wydany w 1894 r. także w osobnej odbitce), najdobitniej wówczas zwracały uwagę współczesnych na to niezwykłe miasto, pozwalając w nim dostrzec nie tylko „odchłań" problemów, ale także „kopalnię" mogących zainteresować literaturę tematów. Właśnie w Mieszkowskim, wówczas współredaktorze **„Kuriera Codziennego"**, który publikować będzie w odcinkach **„Ziemię obiecaną"**, a przede wszystkim w Gliszczyńskim, który mógł Reymontowi udzielić pomocy na miejscu, widzą autorzy wspomnień bezpośrednich inspiratorów i promotorów jego łódzkiej powieści.

Autora w pełni uprawnionego do podjęcia tego niełatwego tematu, na którym tak niefortunnie potknął się już Kosiakiewicz w **„Bawełnie"**, zobaczono w R. [illegible] dopiero po sukcesie jego **„Pielgrzymki do Jasnej Góry" — „pierwszego tej rzetelności i klasy reportażu w pobliskiej literaturze"**, którego walory poznawcze i socjologiczne wysoko ocenili współcześni. Miał te uprawnienia jeszcze dobitniej podkreślić wydanymi już w trakcie pracy nad łódzkim tematem powieściami: **„Komediantką"** (1896) i **„Fermentami"** (1897), które przedstawiły go jako autora o żywiołowym i autentycznym talencie, dociekliwie dochodzącego prawdy ludzkiej egzystencji, nawet najbardziej gorzkiej i pozbawionej złudzeń.

Równie dociekliwie i zachłannie dochodzić będzie owej prawdy w tak odmiennym „rojowisku ludzkim", jakim była ówczesna Łódź. Znał to miasto już z przelotnych odwiedzin, przywodziły go tu bowiem „potrzeby serca" (romans z występującą w łódzkim teatrze aktorką, Heleną Weyherówną), ale pod datą 1894 r. odnotuje także w swoim dzienniku spotkanie z mieszkającym tu wówczas pisarzem, **Ignacym Dąbrowskim**, autorem „przereklamowanej", jego zdaniem, **„Śmierci"**. Aby poznać to miasto bliżej — już dla potrzeb powieści — przyjechał tu na początku 1896 r. i pozostał kilka miesięcy. W czerwcu tego roku pisał jeszcze z Łodzi do przebywającego w Paryżu **Jana Lorentowicza:**

„Myślałem, iż się wyrwę do Paryża na czas dłuższy jesienią roku przeszłego, potem na wiosnę — i nie mogłem, stanęła mi na przeszkodzie Łódź (...). Otóż siedzę w niej prawie od Nowego Roku, na miejscu studiuję to życie tak zupełnie pod każdym względem odmienne od warszawskiego, i z tych spostrzeżeń mam budować powieść. Czy mi się uda dobrze i prawdziwie odzwierciedlić psychologię ludzi i tego miasta? — nie wiem, ale niedługi czas pokaże. Przystąpiłem do pracy z entuzjazmem prawie i z wielką sumiennością — jużci, że tego nie starczy dla mnie na usprawiedliwienie, jeśli stworzę coś w rodzaju Bawełny".

Powieść o Łodzi, na którą Reymont podpisał umowę z firmą wydawniczą Gebethnera i Wolffa, miała być gotowa już w jesieni 1896 r. Tymczasem zebrany materiał okazał się tak obfity, a sam temat tak rozległy i porywający, że w tym czasie — kończąc równocześnie **„Fermenty"** — ledwie ją rozpoczął, ale wiedział już o czym będzie pisał i że pisać pilnie już musi, bo go „zaleNOWEGO TYGODNIKA POPULARNEGO

HELENA KARWACKA

WIELKI SPÓR

wa", **„że niedługo wymiotowałby nią, że wprost musi ją usunąć ze swego organizmu"** — komunikował we wrześniu Lorentowiczowi. Jemu też przedstawił interesujące na temat miasta spostrzeżenia, stanowiące swoistego rodzaju konspekt mającej powstać powieści:

„Łódź zajmuje mnie i porywa wieloma rzeczami: 1. rozrost miasta, fortun, interesów z iście amerykańską szybkością; 2. psychologia tych napływających tłumów po żer, mieszanie się ich i przenikanie, i urabianie w jeden typ, tzw. Lodzermensch; 3. oddziaływanie takiej ssawki, polipa, jaką jest Łódź, na kraj cały; 4. przerobienie się Polaków w kosmopolitycznym młynie itd. — nie skończyłbym rychło, gdybym chciał wszystko wyliczyć. Dla mnie Łódź jest jakąś mistyczną wprost potęgą ekonomiczną, mniejsza — czy złą lub dobrą, ale potęgą, która ogarnia swoją władzą coraz szersze koło ludzkie, która połyka chłopa, odrywa go od ziemi i wyrywa, i robi to samo z inteligentem, tak samo i z pierwszym lepszym macherem, tak samo z najostatniejszym i robotnikiem — jest to wielki, trawiący ludzi i ziemię żołądek, tylko żołądek, wiecznie głodny. Milioner czy robotnik jest tam tylko materiałem, paliwem zwykłym. Darujcie, że się rozpisałem i nudzę niepotrzebnie Was. Uwielbiam masy ludzkie, kocham żywioły, przepadam za wszystkim, co się staje dopiero — a wszystko to mam w tej Łodzi, więc się nie dziwcie, że trawi mnie gorączka pochwycenia tego niesłychanie bujnego życia.

Łódź to epos dla mnie, tylko epos tak nowożytne a tak potężne, że wszystkie starożytne to zabawki w porównaniu. Czuję, że w Paryżu będę mógł lepiej napisać i myśleć, że nie poskąpicie mi rad swoich w czasie pisania, dobrze?"

Książkę o tym fascynującym go mieście napisał Reymont w istocie dopiero we Francji w 1897 i 1898 r. Odcinki **„Ziemi obiecanej"** ukazywały się jednocześnie w **„Kurierze Codziennym"** Gebethnera i Wolffa, a niebawem zaczęła ją przedrukowywać także krakowska **„Nowa Reforma"**. Powstawaniu powieści towarzyszyło równie silne napięcie emocjonalne, jakiego dowodem jest cytowany wyżej list. Pisał ją z „pasją", „z całym chłopskim uporem", pełen wątpliwości o jej wartość.

„Męczy mnie — pisał do Ferdynanda Hoesicka — głuchy, niepokonany strach: A może to wszystko wyjdzie razem jednym zwykłym świństwem... Ale równocześnie buntuję się przeciwko temu przypuszczeniu (...) nie mam najmniejszego pojęcia o jej wartości, nabiorę dopiero po zobaczeniu jej w całości, gdy się wydrukuje w książce. Tymczasem piszę ją z całą pasją, wkładam w nią wszystko, na co mnie dzisiaj tylko stać".

Żeby uspokoić autora, **Ferdynand Hoesick** pisał, **„że Ziemia wydaje mu się niezła"** i pocieszał go, **„że może się nie obawiać Kazimierza Tetmajera jako... powieściopisarza". Jan Lemański**, by zaspokoić „ciekawość" pisarza, przeprowadził wśród jej warszawskich czytelników, przede wszystkim pisarzy, swoistego rodzaju sondaż, relacjonując mu dowcipnie opinie niektórych o drukującej się powieści. Tak np. **Stefan Żeromski** miał powiedzieć:

„Świetne, świetne... odrzyna się to od współczesnych banalności powieściowych, jak plama atramentu od białości majtek. Ten człowiek widocznie potężnieje i jego Franek na przykład i to — no, wiorstowy przeskok. Obrazy nieuramione, ale aż kapią farbami. Styl trochę zaniedbany".

Inny kolega po piórze, **Tadeusz Jaroszyński**, mówił:

„Wspaniała rzecz. Ale też usmarował tego Bucholza... Umie malować brzydotę ludzką, za to typy dodatnie — słabiutkie".

Sam Lemański tak streścił swój sąd:

„Co do mnie, zrobię ci naprzód takie oto zarzuty: 1. ciesielski: za wątłe belkowanie dla obszaru budynku; 2. anatomiczny: za mało kości, za dużo mięsa i nerwów; 3. malarski: brak jednego oznaczonego punktu, w którym autor ma święty obowiązek przybijać oko widza; 4. kosmograficzny: każda ziemia, nawet i obiecana, winna mieć ruch podwójny, wkoło słońca i wokoło własnej osi; twoja ziemia ma ruch jeden, tj. obraca się wkoło siebie, ale na jednym miejscu. Planeta, rzecz z natury swej ciemna, dużo traci, gdy autor skąpi jej swego ducha słonecznego, swego słońca, i nie wtrąca jej w ruch wokół tegoż".

Do twórczych niepokojów Reymonta zaczęły niebawem dołączać się również innego rodzaju obawy i... satysfakcje. Oto z Łodzi — według wielokrotnie w listach powtarzanych informacji autora — dochodziły go wieści, że „wymyślają" mu tu **„niezbyt grzecznie i obiecują wprost lanie".**

„Cóż robić — pisał do brata — oni się burzą i protestują — to do nich należy, a do mnie należy to czytać, listy rzucać w piec i pisać dalej, bez względu na słodkie obietnice".

„Swoją drogą powieść owa robi wielki rumor w kraju, a jeszcze większy w Łodzi. „Kurierowi Codziennemu" przybyło od Nowego Roku 1000 prenumeratorów w samej Łodzi, tylko dla powieści. Pisali mi to sami wydawcy, wspaniałomyślnie, nie proszeni, podnosząc moje honorarium z 5 kop. od wiersza na 7".

Ów „wielki rumor", zdaniem autora **„Ziemi obiecanej"**, zaczął z czasem przybierać coraz groźniejsze rozmiary, przeradzając się nie tylko w groźby ale i zabiegi „osmarowanych" w powieści fabrykantów, aby nie dopuścić do jej książkowego wydania, albo przynajmniej książkę ocenzurować, wykreślając z niej znaczne fragmenty. To przekonanie, bo do wydania książki jak wiadomo doszło, żywił i rozpowszechniał autor do końca życia, tworząc jej legendę. Rozprawił się z nią już **Julian Krzyżanowski** w pierwszej monografii o Reymoncie (1937), dowodząc na podstawie analizy tekstu pierwodruku (nie zachował się rękopis powieści) z wydaniem książkowym, że nie podlegał on cięciom cenzury, a jedynie korekturom samego autora. Źródło trwałości takich przekonań Reymonta widzą komentatorzy jego dzieła w zapisanej przez **Wilhelma Feldmana** w jego **„Współczesnej literaturze polskiej"** uwadze, że **„Reymontowi odmalować wiernie epopeję kapitalizmu Łodzi przeszkodziła, ku niemałej szkodzie literatury, cenzura"**, a on w to uwierzył.

Wypadnie zweryfikować także inne przekonanie autora powieści o Łodzi, być może również wynikające z pewnej nieodpowiedzialności jego łódzkich korespondentów, że między polską a niemiecką prasą wybuchła tu **„niebywała kłótnia"**. Pisał o tym m.in. do **Mariana Kiniorskiego** w marcu 1899 r.:

„Zawiadomiono mnie dzisiaj z Łodzi, że tam pomiędzy prasą niemiecką a polską rozgorzał niebywały hałas i kłótnia a propos „Ziemi". Tak to szeroko ogarnęło, że w „Rozwoju" (polskie pismo), niezależnie z „Zeitungiem" łódzkim, kłóci się kilku ludzi. Jedni bronią, a drudzy atakują".

Znane materiały nie potwierdzają „olbrzymich" rozmiarów owej kłótni, a spór w istocie dotyczył nie tyle samej powieści, ile tego, co na temat Łodzi przy jej okazji pisała warszawska prasa.

Niezależnie od tej aury sensacyjności, która wyraźnie podniosła zainteresowanie powieścią, **„Ziemia obiecana"** była wydarzeniem literackim epok szeroko komentowanym i licznie recenzowanym na łamach ówczesnych pism. Pisali o niej nie tylko znani krytycy literaccy, jak **Ignacy Matuszewski**, ale także działacze polityczni (np. **Roman Dmowski**) i publicyści, którzy dotąd nigdy nie zajmowali się literaturą.

W Łodzi polemikę na ten temat podjęli działający również społecznie lekarze, jak **Ludwik Przedborski** czy **Mieczysław Kaufman.** Współczesnych zainteresowała bowiem przede wszystkim wartość **„Ziemi obiecanej"** jako dokumentu społecznego i socjologicznego, słowem jej walory poznawcze. Jej kształt artystyczny i nowa struktura narracyjna wyraźnie zdezorientowały nawet takich znawców współczesnej literatury, jak wspomniany Matuszewski, który krytyczniejsze na ten temat wypowiedzi skoryguje później w ponownym wydaniu swojego studium **„Przemysł w powieści"**. Obok więc takich sądów, jak **Maurycego Badlora** w „Prawdzie" [illegible] powieść ma **„wysoce wadliwą budowę, odznaczającą się niezwykłą nieproporcjonalnością swoich części składowych i zdumiewającym brakiem kardynalnych podstaw perspektywy powieściowej"**, pojawiały się — trzeba dodać znacznie rzadziej — opinie mówiące o jej strukturalnym nowatorstwie i podobieństwie techniki pisarskiej Reymonta do „kinematografu", przesuwającego „z błyskawiczną szybkością" niezwykle barwne i żywe obrazy **(Maria Krzymuska).**

Zatem już współcześni dostrzegali podobieństwo Reymontowskiego zapisu rzeczywistości do zapisu rodzącej się wówczas techniki filmowej. Nie uszedł ich uwadze, choć również zdezorientował, wspaniale bogaty „inwentarz powieściowy" **„Ziemi obiecanej"**, jej wartość dokumentarna, o czym **Antoni Potocki** pisał że przypomina olbrzymi bazar, magazyny handlowe w rodzaju paryskiego Louvru czy Au bon Marché. Ta niezwykła pojemność poznawcza powieści o Łodzi z biegiem lat wyraźnie rośnie, stając się jej główną wartością.

Najszerzej komentowano wymowę społeczno-obyczajową sportretowanego miasta, dostrzegając w jego szerokiej panoramicznej prezentacji wiele dysproporcji, przerysowań i uproszczeń, czyniąc nierzadko autorowi zarzuty z tego, że brakło w niej szerszego obrazu łódzkiego proletariatu — „polskiego żywiołu" w przemysłowym mieście. W ogólnej tonacji przeważały jednak sądy pochlebne, niekiedy entuzjastyczne; Dmowski nazwie **„Ziemię obiecaną"** pierwszą prawdziwą powieścią społeczną", choć i on zarzuci jej nieproporcjonalne przedstawienie owego „rdzennie polskiego żywiołu" miasta.

Wszelkie tego rodzaju uwagi Reymont kwitować będzie — jak w liście do Przybyszewskiego — pogardliwym stwierdzeniem: **„jakaś małpa sprawozdawcza skopała mnie za „Ziemię", za brak w niej ideałów społecznych".** Ale stwierdzi również:

„miałem kilka recenzji tak obszernych i tak sprawiedliwych a dobrych, że na resztę nie zważam. A przy tym, to się zaczyna dopiero walka. Pierwszych parę lat miałem zbyt jednogłośne brawa, aby to mogło trwać długo. Teraz nastaje okres drugi, który będzie znacznie dłuższym; okres ujadań, polemik, wymyślań: i to przejdzie, a zobaczymy, kto zwycięży. Zresztą zaczynam lubić walkę. Bałem się jej dawniej, kiedym nie czuł sił własnych, kiedym jeszcze nie widział dobrze dróg i celów, którymi powinienem iść w literaturze — ale obecnie wiem, więc się śmieję!"

Mimo wielu entuzjastycznych opinii, sławy i rozgłosu, **„Ziemia obiecana"** nie przyniosła Reymontowi uczucia pełnego tryumfu:

„Razem dwa razy cierpień, nieźli znieść można — pisał do Hoesicka — wolej by zostać celnikiem albo kmieciowym parobkiem niźli powieściopisarzem. Niech to diabli wezmą!"

Na szczęście już od gorzkiej ale zaszczytnej „doli powieściopisarza polskiego" nie miał odwrotu.

OBYCZAJE

CIUCIUBABKI

wyszli. A 14 listopada przyszło z Donaldem czterech nieznanych mężczyzn. Donal dmnie bił. Trzymali mnie i po kolei. Traciłam wtedy przytomność...

Za tę przysługę chłopaki już 16 listopada wynieśli na przechowanie telewizor „Tosca Lux". Przyjął go J. Makówa.

— A może by go tak upłynnić? — spytał Rysiek. — Po co ci graty, Dzidka?

— Róbcie, co chcecie — powiedziała. — Ja chcę jeść.

Nazajutrz Puszek, Peter, Donald i Gromek przenieśli telewizor do S. Oklejka.

— Jak to jest lewe, to nie biorę! — powiedział S. Oklejek.

— To jest zupełnie prawe, po dobrej woli, z tożsamością — zapewnił Donald.

— No to ile?

Przez minutę patrzyli sobie w oczy.

— Było siedem — powiedział Donald — niech będzie trzy!

S. Oklejek zaśmiał się bezczelnie.

— Może być tysiąc! — wyrwał się wtedy Gromek.

— Jak taki śpiew — powiedział S. Oklejek — to leci dziewięć stów i zgoda.

Gotówka przeszła z rąk do rąk.

— Dasz jej to wszystko? — spytał Peter.

— Dam, ty baranie! — mruknął Donald. — Przecież trzeba zrobić dobre przody...

Dzidka dostała te dziewięćset. W ciągu trzech dni, jak mówi, sześć setek przepuściła z bratem na jedzenie. Resztę wziął Andrzej.

4.

18 listopada wieczorem spotkali się Pruś z Donaldem. Stanisław Pruś powiedział, że chciałby nabyć jakiś sprzęt.

— Ja mam dziewczynę z takim sprzętem — powiedział Donald.

Udali się na ulicę Kopernika. W mieszkaniu były dwie dziewczyny i sześciu mężczyzn, którzy pili i śpiewali, że rąbnęli w łeb szeryfa. A że wlewali gwałtem gorzałę w te dziewczyny, to jedna zaraz uciekła. Dzidka została.

Andrzej odciągnął na bok Stanisława Prusia.

— Ja tu już dłużej nie wyrobię — szepnął.

— Męczą cię oni?

— Spać nie dają. Muszę w komórce kimać.

— Kolesie! Chcę, żeby was nie było widać — krzyknął Pruś.

Wyszli z małymi oporami. Andrzej udał się po kolejną butelkę wina. Pruś zastanawiał się, jak wykombinować zwolnienie lekarskie, bo nie poszedł do roboty na nocną zmianę. Potem spali razem z Dzidką. O północy ktoś dobijał się do okna. Był to Wiesław Gromek.

— Nie luzuj drzwi — powiedział Pruś.

Dzidka bała się Gromka i otworzyła drzwi. Z Gromkiem był Peter, który nie poszedł na popołudniową zmianę, zapewniając matkę, że będzie pracował w nocy. Mieli pół litra. O pierwszej przynieśli drugie pół litra od Zosi. Chcieli koniecznie upić Prusia, ale on ich wygonił.

Rano Puszek zawiódł Donalda do Oliwiary, swojego znajomego z byłego miejsca pracy.

— Jest do nabycia arged jeden — powiedział Puszek — a ty chciałeś się mechanizować.

— Ukradłeś?!

— Skądże! Własność kolegi, jak cię kocham. Kolegium musi płacić...

— Przedstawcie właściciela, to może wezmę.

Ściągnęli Dzidkę razem z pralką. O zmroku, bez obciachu. Oliwiara dał siedemset pięćdziesiąt. Forsę wziął Donald i pojechał taksówką po litr wódki. Oliwiara nie pił, bo ma chory żołądek. Wyprosił gości, którzy udali się do Mokki, gdzie bawili się dalej, to znaczy pili wino i jedli kremy.

— Zostawcie trochę na jedzenie — poprosiła Dzidka.

— Ty! — zdenerwował się Donald. — Jak chcesz do sądu dla małolatów, to krzycz głośno. No, krzycz! Ale pamiętaj, że jesteś w spółce.

Następnego dnia poszło gładko, ponieważ Oliwiara lubił się tanio modernizować. Pijana Dzidka nie wiedziała o Bożym świecie, kiedy Wiesław Gromek wyniósł w końcu radio „Trubadur" z adapterem, wartości dwa tysiące sześćset. Dostali osiem setek. W ogródku spili trzy ćwiartki wódki, nabyli siedem win i przybyli do mieszkania Dzidki.

Kiedy rano Stanisław Pruś otworzył oczy, ujrzał nad sobą milicjanta. Tak zemścił się brat Andrzej, który był wyłączony z udziału w zyskach...

5.

Sierżant z Komendy pojechał do Bydgoszczy, ażeby powiadomić ojca, co się stało. Zakłopotany ojciec, czyli Bronisław K., nie wiedział, jak zareagować na wiadomość. Potem krzyczał, że trzeba natychmiast zamknąć gwałcicieli, bo to jest straszna plaga. Był tak zaszokowany, że zapomniał o kradzieży. Nie, o kradzieży pamiętał, ale nie mógł się połapać, co jeszcze znajdowało się w mieszkaniu. Dlatego przysłał pismo z wyszczególnieniem przedmiotów. Prosił, aby sprawdziła, czego brakuje, jego kochanka, Mania, ale ona stwierdziła, że Bronisława K. nie zna i nie chce znać i że nie wie, co on mógł mieć w mieszkaniu.

Widziałem Bronisława K. Przyjechał z Białegostoku na przepustkę. Stwierdził, że z mieszkania zniknęły ubrania, koszule, skarpety, noże, widelce, prawie wszystko. Puste mieszkanie....

— Ochrońcie jakoś to mieszkanie — zwrócił się do sędziego. — No bo do czego ja wrócę, panie sędzio?...

Ruszyło go sumienie, może zabolało serce?

— Proszę nie karać córki — powiedział. — Syna też proszę nie karać.

Zaraz, dlaczego syna? Jak się okazuje, nieszczęsny Andrzej, któremu zbrakło sił i odwagi, aby zaopiekować się siostrą, partycypował jednak w ogałacaniu chaty. Te koszule, widelce, noże itp. No i wiedział, że tamci kradną...

— Do czego ja wrócę, panie sędzio? — zapytał Bronisław K.

Nie ma rodziny. Pozostało puste i brudne mieszkanie, a siedemnastoletnia sierota, córka żyjących rodziców, zgubiła twarz dziecka...

RYSZARD BINKOWSKI

BOGDA MADEJ

WEŁNĄ MALOWANE

Dostajesz nowe mieszkanie i zaczynasz się zastanawiać: jak je umeblować, co kupić? Szukasz rady u przyjaciół, rodziny, znajomych. Przeglądasz z uwagą „Magazyn Rodzinny", inne pisma, które służą radą dla ludzi meblujących się, urządzających mieszkanie. Wreszcie szukasz pomocy u plastyka. A plastyk?

Plastyk rozkłada karton, bierze mazak do ręki, pyta jakie masz meble, jaki jest rozkład mieszkania, co zamierzasz kupić — i rysuje ci projekt urządzenia wnętrza.

— Na podłogę — powiada — nie żadna tam nędzna, pstrokata imitacja „persa", tylko „supłacz" albo „włochacz". Koniecznie „supłacz" albo włochacz"!

Dobrymi radami wybrukowano już piekło. Najłatwiej jest dawać dobre rady, ale znacznie trudniej kupić w sklepie z dywanami, w „Centralu" lub w „Uniwersalu" coś tak upragnionego, jak polecany przez plastyka „włochacz" czy „supłacz"; o ową — jak plastyk powiada — nędzną, pstrokatą imitację „persa" jest znacznie łatwiej, jeśli człowiek trochę pochodzi i podyżuruje w sklepach.

A dywan w nowym mieszkaniu jest konieczny, choćby tylko dlatego, żeby przykryć zimne i zjadliwie niebieskie lub zielone płytki pcv. Chodzi więc człowiek po sklepach i szuka czegoś, co by mu te płytki przykryło, co byłoby ładne i do mebli pasowało.

Myśl plastyka jest słuszna i ze wszech miar pożyteczna. Tylko do życia nie pasuje. Dostajesz nowe mieszkanie, stare meble do niego nie pasują, znudziły ci się i zużyły doszczętnie. Biegasz więc po sklepach i kupujesz wyposażenie nowego mieszkania nie wedle tego, co sobie zaprojektowałeś, co podsunęły ci fachowe pisma, czy rada plastyka, ale wedle tego, co w sklepie znajdziesz. Więc zasłony w geometryczne wzorki lub paski, na meble zapisujesz się i czekasz w kolejce lub bierzesz to, co jest w „Domusie", a co ci zupełnie nie pasuje do mieszkania, a potem dywan „trafiasz" w kwiatki.

Jeśli jednak jesteś uparty i koniecznie chcesz umeblować swoje nowe mieszkanie z pewną plastyczną myślą, to musi to — niestety — trwać bardzo długo, więc jesteś skazany na koczowanie w prowizorce. A już starożytni odkryli, że prowizorki są najtrwalsze. Biegasz więc po sklepach, należących do różnych przedsiębiorstw handlowych, i szukasz tego, co tobie jest potrzebne, a nie tego, co akurat oferują ci sklepy. A jeśli nawet dostaniesz to, co tak bardzo sobie wymarzyłeś, to potem masz kłopoty z transportem. Mogę tylko wyrazić nadzieję, że proces modernizacji przemysłu nieuchronnie spowoduje proces modernizacji handlu. Jak na razie nowy dywan ciągle jeszcze kojarzy mi się z facetem, który dźwiga na ramieniu gruby rulon, balansując nim między przechodniami. Czasem taki rulon dźwigają dwie panie. I będziemy coraz częściej spotykali na ulicach facetów z rulonami na ramieniu, bo rośnie nam produkcja dywanów.

1.

Dywany w Polsce produkują fabryki w **Kowarach, Kaliszu, Tomaszowie Mazowieckim, Bieczu i Łodzi.** Do niedawna w Łodzi dywany produkowała fabryka im. „Tadka" Ajzena. Obecnie w klubie producentów dywanów znalazł się również **„DYWILAN".**

„Dywilan" wybudowano na Dąbrowie. Jest to „młodszy potomek" fabryki dywanów im. „Tadka" Ajzena z ulicy Kilińskiego. Stary zakład produkować będzie tkaniny obiciowe. „Dywilan" — tylko dywany. Fabryka przy ulicy Kilińskiego — to jeszcze XIX wiek, trzeba będzie ją zmodernizować. Fabryka na Dąbrowie — to pełna nowoczesność.

Miało się „Dywilan" budować 33 miesiące. Wybudowano w 28,5 miesiąca. Skrócono jednak nie tylko cykl produkcyjny, skraca się również okres dochodzenia do pełnej mocy produkcyjnej. Nowoczesna fabryka wymaga wysokich kwalifikacji załogi, praktyki, doświadczeń z maszynami będącymi „ostatnim krzykiem technicznej mody". Dla „Dywilanu" dobrano najlepszych specjalistów, więc i cykl dochodzenia do pełnych produkcyjnych możliwości będzie krótszy od planowanego.

Kiedy fabryka osiągnie pełne swoje zdolności, będzie w ciągu roku wytwarzała 2 miliony m kwadratowych dywanów. Obecnie w Polsce na statystycznego Polaka przypada 2 m kwadratowe dywanów. Jest to w porównaniu z Anglią czy Danią — choćby tylko — wielkość pięciokrotnie mniejsza. „Dywilan" nieco zmniejszy te różnice, ale nie do końca.

— Kiedy zaczniecie ją wyraźnie zmniejszać?

— Pod koniec bieżącego roku, ale nie całkowicie.

— Dlaczego?

— Bo tylko część naszych dywanów przeznaczymy dla kraju, resztę będziemy wysyłać za granicę.

„Dywilan" spłaca bowiem swoją produkcją koszty nowoczesności. Blisko jedną trzecią produkcji da na rynek krajowy, resztę wezmą ci, którzy sprzedali nam nowoczesne maszyny. Nie potrwa to jednak długo, gdyż koszt budowy fabryki zwróci się w ciągu dwu lat. Ale wtedy „Dywilan" umocni swoje pozycje na zagranicznych rynkach i nadal będzie eksportować. Będzie dywanami zarabiał na maszyny dla innych fabryk, w tym również i tych, które wytwarzają dywany dla rynku krajowego, a które muszą się modernizować. Opłaci nam się to z nawiązką, choć żal, że nie wszystkie z pięknych dywanów łódzkiego „Dywilanu" trafią do naszych mieszkań. Takie są prawa ekonomii w świecie, w którym rozwija się międzynarodowa współpraca. I w kraju, który nie chce pozostać w tyle, który dąży do tego, aby dorównywać najlepszym.

2.

— Musimy kupić „miflexy" — usłyszałam w „Dywilanie".

— Po co? — zdziwiłam się. — Po co wam wózki golfowe?

— Żeby móc jeździć po fabryce.

Nie wyraziłam zdziwienia, bo pomyślałam sobie, że ze mnie dworują. Ale nie. To była czysta prawda. Potrzeba 3 godzin, aby tylko pobieżnie zwiedzić fabrykę, a około 8 godzin, aby ją poznać dokładnie.

Kiedy człowiek wchodzi do „Dywilanu" i ma w pamięci stare fabryki włókiennicze, doznaje szoku. Toteż jedni zapamiętują tylko kwiaty i czystość, inni niebywałą plątaninę rur i jasność hal fabrycznych, a jeszcze inni granatowe marynarki inżynierów, na których to marynarkach nie osiada wełniany pył. W „Dywilanie" pryskają niczym bańki mydlane schematyczne wyobrażenia o przemyśle lekkim. W ogromnych halach nie widzi się prawie ludzi. Część z nich siedzi za sterowniczymi pulpitami — pełnymi różnych przycisków i migotliwego światła kolorowych lampek.

A gdy zwiedzającego oszołomi wielkość i nowoczesność fabryki, może wejść do patia, aby odpocząć na ławeczce. Cztery są patia w zakładzie. Pod dachem fabryki jest przeszło 800 różnych pomieszczeń. Poza tym jest niebywale kolorowo.

Chciałam obejrzeć z angielska nazwany „showroom", czyli „salon wystawowy" — jakbyśmy to powiedzieli, gdzie zgromadzono próbki produkowanych już dywanów. „Showroom" ma jedną ścianę całą ze szkła, a dzieli ona „salon wystawowy" od stołówki. „Showroom" pokazano mi przez szybę tylko, bo druga szklana ściana oddziela go od korytarza.

— Tu nie ma nic ciekawego — powiedziano mi **— zmieniamy ekspozycję. Ciekawiej jest w halach. Zobaczy pani dywany na krosnach.**

Zobaczyłam i nie podejmuję się tego opisać, bo tego opisać nie można. Na każdym krośnie inny dywan, inne kolory, inne wzory. To trzeba po prostu samemu zobaczyć.

3.

„Włochacze" i „supłacze" są na pewno ładne i pięknie mogą komponować się w mieszkaniu, ale największe zapotrzebowanie jest na dywany tradycyjne. Toteż „Dywilan" produkuje dywany dwiema metodami: velour i wilton. Velour to dywan tańszy, wytwarzany z gorszego surowca, o krótszym włosie. Wiltony włos mają dłuższy — do 10 mm, są bardziej puszyste, wytwarza się je z lepszej wełny. Bo „Dywilan" produkuje dywany tylko z wełny.

— W przyszłości będziemy próbowali stosować również włókna chemiczne — mówią inżynierowie z „Dywilanu". — **Teraz musimy przede wszystkim spełniać życzenie klientów zagranicznych, którym spłacamy długi za maszyny.**

Inżynierowie z „Dywilanu" są zakochani w swojej fabryce. Brzmi to może trochę banalnie, jak w piosence sprzed lat, kiedy to kochano się w „swoim mieście", ale to prawda. Są dumni z tego, co im dano w ręce, dumni z możliwości, jakimi dysponują. Chcieliby zrobić wiele i można mieć pewność, że wiele zrobią. Przede wszystkim muszą spełniać życzenia klientów i trafiać w ich gusty.

— A jakie to są gusty?

— Różne. Rynek krajowy na przykład domaga się jaskrawych kolorów. Odbiorcy zagraniczni przeciwnie — kolorów stonowanych, ciemnych. Klient krajowy chce dywanów we wzory geometryczne, a klient zagraniczny — tradycyjnych, nawiązujących do wzorów perskich. Niektórzy proponują swoje własne wzory, ale to już wynika z ich narodowych tradycji. Na przykład Japończycy chcą dywanów, które wzorami nawiązują do japońskich tradycji.

„Dywilan" wysyła swoje dywany między innymi do Francji, Anglii, RFN, Belgii. Zestaw tych krajów pokazuje, skąd „Dywilan" otrzymał maszyny. Sprzedaje też „persy" na Bliski Wschód, do kolebki tego rodzaju dywanu i to — jak mówią w fabryce — jest miarą i oceną ich pracy. Konkurować przemysłowi z tradycją rękodzieła nie jest łatwo, a jednak konkurencję tę wytrzymuje.

Przygotowanie produkcji dywanu nie jest proste. Opracowanie wzoru jednego dywanu trwa 6 tygodni. Potem można ten wzór powtarzać w różnych kolorach, uzyskując bajeczne niekiedy efekty, ale przecież nie każdy wzór znajdzie uznanie, zostanie przyjęty do produkcji. Projektanci muszą więc poznawać gusty klientów, studiować potrzeby rynku. Również krajowego.

4.

„Dywilan" jest nową fabryką w nowej dzielnicy. Obok „Polanilu" i „Bistony". Wszystkie te 3 fabryki to wizytówki nowoczesności przemysłu lekkiego. Ale Dąbrowa przemysłowa nie jest wizytówką nowoczesności miasta.

Spróbujcie dojechać do przemysłowej Dąbrowy. Spróbujcie coś tam kupić. Spróbujcie w deszczowy dzień wrócić niezabłoceni. Nic z tych rzeczy. Dąbrowa jest kompleksem paradoksów, gdzie nowoczesność architektonicznego rozwiązania „Bistony" nie może jeszcze konkurować z brzydotą i prymitywizmem otoczenia. I nie ma znów tak wielkich widoków na lepszą przyszłość, bo wbrew rozsądkowi wiadukt na skrzyżowaniu torów z drogą będzie się budować na ulicy Przybyszewskiego, a nie na ulicy Dąbrowskiego. Przez kilka lat będzie się więc dojeżdżać do przemysłowej Dąbrowy drogą okrężną, dłuższą i bardziej skomplikowaną. Żeby było dziwniej, żeby było wbrew logice.

A ludzie do „Dywilanu" dojeżdżają z odległych krańców miasta. I będą dojeżdżać, gdyż chcą pracować w nowoczesnych warunkach. Z fabryki „Tadka" Ajzena, z ulicy Kilińskiego, zabrano tylko najlepszych. Innych skompletowano z innych przedsiębiorstw też wybierając najlepszych. Są to znakomici fachowcy, którym zależy na pracy, rozwijającej ich umiejętności.

— Ludzi mamy znakomitych — mówi dyrektor „Dywilanu". — **Jak znakomitych, niech poświadczy fakt, że kiedy Anglicy montowali maszyny mieli kłopot z ich uruchomieniem i wtedy te trudności rozwiązali nasi ludzie, wprawiając Anglików w niepomierne zdumienie.**

Warto, żeby miasto zatroszczyło się o lepsze warunki życia dla tych ludzi. Dojazd z Teofilowa do „Dywilanu" i z powrotem trwa 3 godziny dziennie, a przecież trzeba jeszcze coś kupić, coś załatwić. Na razie dla rozładowania tłoku w tramwajach i autobusach ustalono różne godziny rozpoczynania pracy w fabrykach przemysłowej Dąbrowy. To nawet nie półśrodek.

5.

Pod koniec tego roku „Dywilan" dojdzie do pełnych możliwości produkcyjnych i mimo że będzie spłacał dywanami długi, to przecież da też pewną ilość dywanów na krajowy rynek. Warto byłoby pomyśleć o nowoczesnych metodach ich sprzedaży. Postęp w przemyśle musi warunkować postęp w handlu. Jak do tej pory zależność między tymi czynnikami jest prawie żadna.

„Dywilan" będzie więc uczył handlowców handlowania. Posiada w Łodzi sklep branżowy, ale to mało. Urząd Miasta Łodzi wystąpił z propozycją otworzenia drugiego takiego sklepu w dawnych pomieszczeniach biurowych fabryki im. T. Ajzena przy ul. Kilińskiego.

W „Dywilanie" myśli się o otworzeniu takich sklepów w Warszawie, Gdyni, Chorzowie i Katowicach. Mają to być sklepy o wielkiej powierzchni, w których dywany sprzedawano by nie w rulonach, ale w pełni wyeksponowane. Różne wzory i pełne ich zestawy kolorystyczne. A w Łodzi?

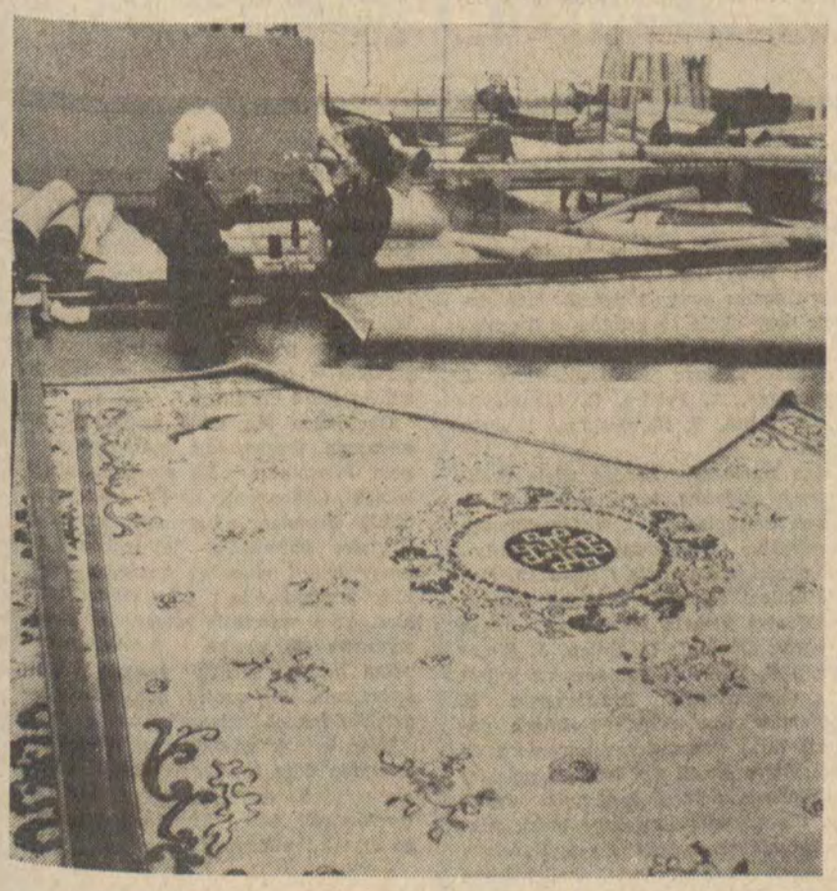

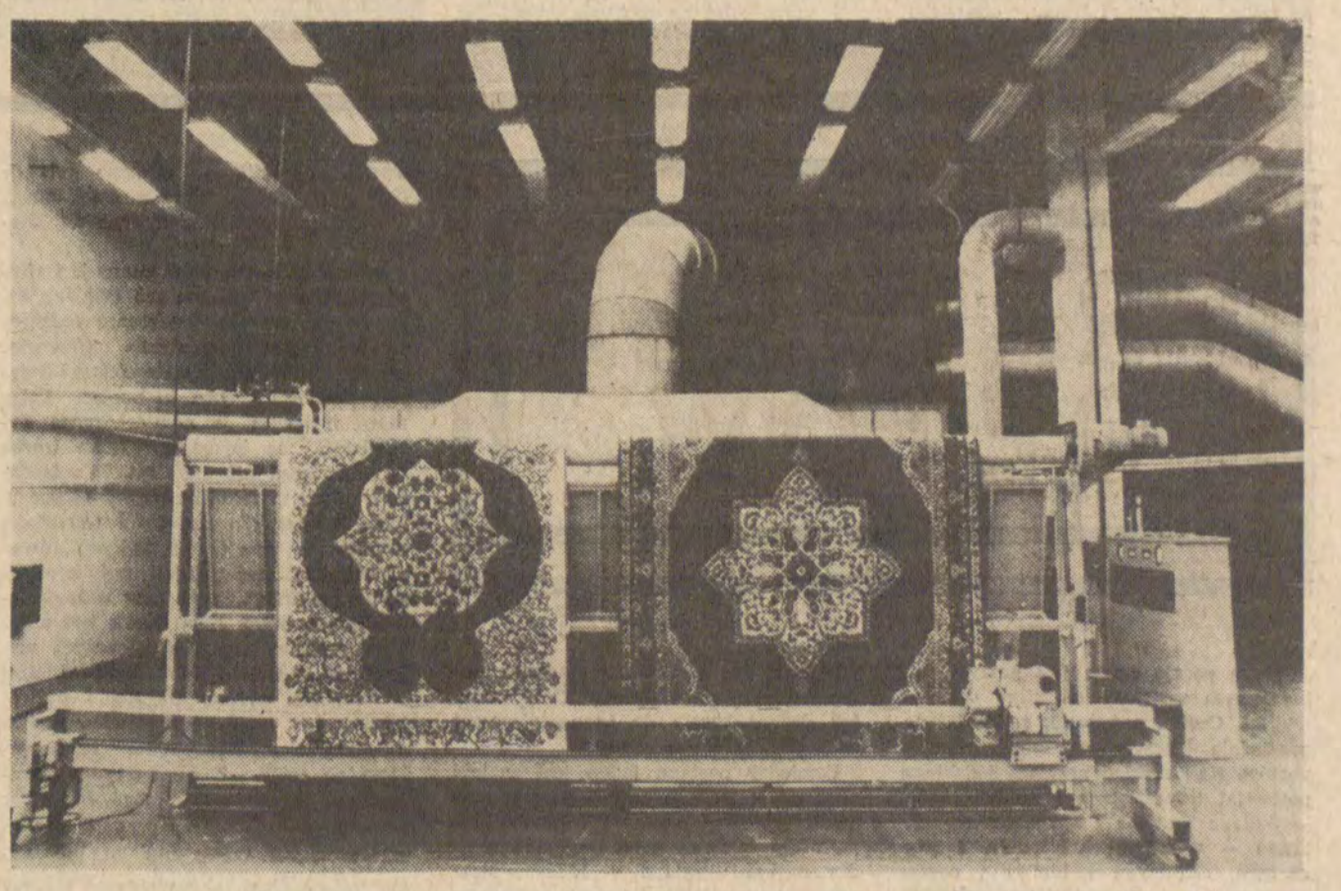

Zdjęcia Włodzimierza Parysa

MARIAN MISZALSKI

PORTRET BOHATERA

— STRUKTURA WIELOPŁASZCZYZNOWA —

Nasz bohater... Nasz bohater niech będzie niskiego wzrostu, powiedzmy – chudy lub raczej wychudzony; porusza się niezgrabnie na cienkich nogach, wykrzywionych pod ciężarem bezkształtnej narośli – ogromnego garbu, którym niniejszym bezlitośnie go obdarzamy. Ten ogólny, ledwo zarysowany szkic bohatera uzupełnijmy jeszcze kilkoma dowolnie wybranymi szczegółami: więc duże dłonie o wypukłych, szponiastych paznokciach, żółta twarz pokryta ostrym czerniawym zarostem, twarz człowieka chorego, pozbawiona jednak najdrobniejszego śladu cierpienia. Cierpienie bowiem zbyt często bywa w literaturze symbolem lub przejawem człowieczeństwa, zatem tej właśnie cechy, z której przede wszystkim chcielibyśmy wyprać bohatera. Dlatego napisaliśmy „pozbawiona jednak najdrobniejszego śladu cierpienia". Nie chcemy żadną miarą sugerować Czytelnikowi, że nasz bohater umie cierpieć inaczej, jak tylko na sposób bezpańskiego psa lub osaczonego tygrysa. Żeby zaś nasz szkic nabrał pewnej pikanterii, czy – jak kto woli – intymności, odrywamy się na chwilę od opisu powierzchowności bohatera; staramy się jednak czynić to dyskretnie, niepostrzeżenie tak, by opis zewnętrzny stopił się w jedno z analizą wnętrza. Kontynuujemy więc:

...Żeby zaś nasz szkic nabrał pewnej pikanterii, czy – jak kto woli – intymności dodajmy, że nasz bohater pokasłuje sucho, a lekki ślinotok z wpółotwartych ust zniekształca nieliczne słowa, jakie wypowiada Garbus. Co mówi? Właśnie. Czy istota tak szpetna zdolna jest powiedzieć cokolwiek sensownego, nie licząc oczywiście słowa skargi lub przekleństwa? Okazuje się, że tak, ale nie ma powodów do obaw: ani skarga nie każe nam współczuć bezradnie, ani przekleństwo nie zmusi do usprawiedliwień: Garbus wykrzykuje „garki, mifki za gagany, smot, smot", bełkocze także parę innych wyrazów, raczej do siebie, chociaż wątpliwe, aby rozmawiał z sobą. Ot, czyni to z jakiegoś starego, bardzo starego nawyku, może nie uświadomionej potrzeby, zawsze bezwiednie – tak, jak ociera się pot z czoła lub zgoła spluwa. Garbus jest szmaciarzem i śmieciarzem zarazem i nie możemy od niego zbyt wiele wymagać. Nie możemy też brutalnie dyskredytować go z tej racji w oczach czytelników, podobnie jak i z tytułu jego potwornej szpetoty. Ostatecznie nie każdy nadaje się na oratora lub amanta. Możemy natomiast – swobodnie korzystając z przywileju autora – zohydzić bohatera do szczętu w sposób następujący:

Stwierdzamy z całą odpowiedzialnością, bez cienia uprzedzeń do Garbusa, że nasz bohater śmierdzi; trudno właściwie powiedzieć, czy cuchnie bohater, czy jego stare i przepocone łachy. Faktem jest, że gdybyśmy stanęli obok Garbusa, poczulibyśmy drażniącą woń stęchlizny, potu, może jeszcze jakiś nie określony zapach: podłej garkuchni a na pewno plugawego szaletu.

Tak więc portret bohatera rysuje się coraz wyraźniej, nabiera barw, albo lepiej: cieni, półcieni, czerń oczywiście dominuje. Garbus jest jakimś reliktem odległej przeszłości, współczesnikiem, zdegradowanym do pozycji Papuasa, od którego różni się tym tylko, że wykonuje funkcję możliwą w społeczeństwie zindustrializowanym: wymiana szmat za garnki i miski plus myszkowanie po śmietnikach, gdzie w naszych szczęśliwych czasach można jeszcze znaleźć coś użytecznego.

Jesteśmy już blisko półmetka – pora zawiesić na ścianie Portret Bohatera, odstąpić parę kroków wstecz i przyjrzeć mu się uważnie. Stosowne oświetlenie odkryje naszym oczom jeszcze kilka interesujących szczegółów.

A teraz odwracamy już Portret malowidłem do ściany. Bohater znika, chociaż nadal istnieje realnie i gdybyśmy podeszli do okna i spojrzeli na ruchliwą ulicę śródmieścia, ujrzelibyśmy go popychającego wózek na obrzeżu jezdni; auta mijają go obojętnie – kolorowe potwory z innego świata; czasem tylko, w oczach kierowców i przechodniów odbija się odraza, szyderstwo lub współczucie. Zaś w oczach szpakowatego pana, w średnim wieku, człowieka niewątpliwie inteligentnego i znającego życie, udałoby się nam nawet dostrzec wszystkie te trzy uczucia dokładnie przemieszane, nie do rozplątania w jednym spojrzeniu. Język nasz jest jednak ubogi: nie zna wystarczającego określenia na takie właśnie odczucie i musieliśmy napisać „wszystkie te trzy uczucia dokładnie „przemieszane", chociaż jest to nieścisłość.

Czy Garbus wie, że jest uosobieniem brzydoty, dzielącej go od ludzi. Chyba nie. Wprawdzie kiedyś odczuwał pewien dystans, będąc jeszcze dzieckiem, ale przepaści dostrzec już nie zdążył. Przywykł do siebie – takiego, jakim jest, przywykł też do innych – takich, jakimi są. Wszystko wydaje mu się naturalne, więc bez znaczenia. I znów niewłaściwie użyliśmy słów, tym razem „wydaje mu się". Rzecz w tym, że bohaterowi nic się nie wydaje, problem brzydoty nie istnieje dlań; istnieje natomiast dla postronnego obserwatora, zwłaszcza jeśli wychyla się z okna galerii lub jest szpakowatym przechodniem w średnim wieku... itp.

I znów kolej na dygresję. Tak już niefortunnie przychodzi nam konstruować to opowiadanie, że dygresje rozrastają się w samodzielne wątki, główny tok narracji spychany jest na margines, myśli nawarstwiają się – i oto formuluje się swoisty program:

Trzeba oddać nie tylko zamierzoną fabułę, ale pokusić się także o przekaz aktu kreacji; ukazując losy bohaterów wskazywać wpływ czystej fantazji ale i wpływ nieprzekraczalnych barier realiów. W ten sposób słowa zakreślają szczerszy wycinek rzeczywistości. Przekazują zamierzony wątek – mniej lub bardziej rzeczywisty, przekazują też żywy obraz piszącego „w chwili pisania". Taka manjera wprowadza jednocześnie właściwy i uświadomiony dystans między autorem i bohaterem, czytelnikiem i bohaterem, eksponuje wreszcie rolę autora jako postać tworzącą się niejako w akcie tworzenia. Powstaje w sumie struktura wyraźnie wielopłaszczyznowa z opowiadaniem głównym, opowiadaniem o tym, jak ono powstaje, a także z refleksją nad konsekwencjami przyjętej konstrukcji.

Tymczasem nie wspomnieliśmy jeszcze o niezwykle istotnej dla naszego opowiadania postaci, która tego dnia również widziała Garbusa. Chodzi o Emmę, młodą kobietę, zażywającą w popołudniowej porze przechadzki w towarzystwie wytwornego mężczyzny. Jej wzrok spoczął przez chwilę na garbie, powrócił na twarz towarzysza, znów przeniósł się na garb, ogarnął sylwetkę bohatera...

Emma pożegnała wkrótce przyjaciela? kochanka? – darujmy sobie bliższe dociekania; czy był to jej dziesiąty czy piętnasty mężczyzna nie jest znów takie ważne. Emma była ostatecznie piękną kobietą i fakt ten powinien nam wystarczać. Emma szła tedy wolno, rozkoszując się nieco sobą, co jednak nie przeszkadzało jej myśleć o sprawach praktycznych: o nowej kreacji, o pewnym dyrektorze departamentu, o Aleksie – uroczym terrierze, który ostatnio troszkę zaniemógł, no i oczywiście o sobie – na – tle – innych – kobiet. Przechodziła właśnie obok sklepu z bielizną damską (a może obok straganu z owocami? Z punktu widzenia rozwoju akcji jest to, rzecz jasna, obojętne, może jedynie mieć znaczenie estetyczne. Ponieważ jednak ożnica w estetycznym wydźwięku wyrażeń „sklep z bielizną damską" i „stragan owocowy" jest niezwykle subtelna, pozostańmy przy pierwszej wersji. Powiedzmy szczerze: powodowani czystym lenistwem i niechęcią wnikliwszych dociekań).

„...Przechodziła właśnie obok sklepu z bielizną damską" gdy nagle przypomniała sobie bezkształtną narośl na żywym ciele, wędrujący po mieście garb. „Garb w Marszu" – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Ten uśmiech – logicznie rzecz biorąc – potwierdzałby naszą wcześniejszą tezę: Emma rozkoszowała się nieco sobą. O dziwo jednak – szybko spoważniała. Garb przebijał uparcie poprzez inne myśli, był natrętny, nieomal nachalny, obraz garbu jaskrawo malował się przed oczami Emmy, podczas gdy twarz bohatera uporczywie pozostawała w mroku.

Zanim Emma doszła do domu, wiedziała już – a, nie, nie miała jeszcze sprecyzowanych planów i właśnie nie bardzo wiedziała, czego chce od Garbusa. Kiedy jednak przekręcała klucz w zamku... „To byłoby interesujące. Ciekawe, czy j e s t e m do tego zdolna". Ale nie uśmiechała się już do siebie. Owo delikatne uczucie samozachwytu ustąpiło już miejsca niepokojowi. Niepokój towarzyszył jej przez cały wieczór, nie odstępował przez kolejne dni. Tkwił w świadomości jak jakaś drażniąca zadra, konieczność ostatecznego rozstrzygnięcia jawiła się nieuchronnie. Czy Emma chciała wypróbować swą wolność, niezależność, czy też był to nadzwyczajny kaprys – trudno powiedzieć. Można jedynie przypuszczać, że w dalszym ciągu opowiadania dowiemy się prawdy.

Żeby zbytnio nie nużyć Czytelnika, posuniemy akcję szybko do przodu. Emma z wielką energią rozpoczęła poszukiwania Garbusa. Uruchomiła cały swój spryt, wdzięk i znajomości i po kilku dniach wiedziała już wszystko o Garbusie. O, czy musimy doprawdy opowiadać szczegółowo o przebiegu poszukiwań? Cóż to znaczy dla pięknej i bogatej kobiety odnaleźć pokracznego Garbusa, nawet w wielkim mieście. Wystarczy objechać samochodem kilka peryferyjnych dzielnic, zapytać bab wystających rankiem przed rzeźniczymi sklepami (choćbyśmy nadać chcieli nie wiem jak uniwersalny wymiar losom naszych bohaterów, nie sposób uniknąć jakże konkretnych realiów). Było zresztą tysiąc innych możliwości. Bez większych wtedy skrupułów co do niezaspokojenia ciekawości Czytelnika przechodzimy do dalszej części opowiadania.

Stało się tedy, że pewnego ranka nasz bohater pojawił się w mieszkaniu Emmy.

Nabierzmy szerszego oddechu: tu właśnie, w mieszkaniu Emmy, a ściślej mówiąc – w jej łóżku – rozegra się finał naszego opowiadania. Oczywiście można się było domyślić tego już wcześniej, na dobrą sprawę od momentu wprowadzenia do opowiadania postaci Emmy. I jeśli jest jakikolwiek sens czytać Finał, to tylko w tym celu, aby w rozdziale „Jeszcze słów parę" wysłuchać usprawiedliwień autora.

Zatem pokrótce: kiedy zwabiony obietnicą szmat Garbus zjawił się w mieszkaniu, Emma zagrała va banque. Zmknęła drzwi na klucz, wsunęła klucz do kieszeni szlafroka – szlafrok n.b. jest bodajże najczęstszym spotykanym w literaturze strojem kobiet w podobnych sytuacjach. Vide n.p. „Kuszenie Czesława Pałka" Głowackiego, „Kraksa" Dürrenmatta, a zwłaszcza „50 przygód miłosnych polskiego Don Juana"... Trudno już dziś powiedzieć, czy to pisarze jeszcze kopiują rzeczywistość, czy oczytane kobiety naśladują pisarzy. Faktem jest, że wzorzec utrwalił się, faktem jest także, że Emma miała na sobie tylko szlafrok. Myślę, że utrzymamy się w konwencji dodając słowo „luźny", „rozchełstany", zapięty tylko na parę guziczków" („guziczki" – sic!).

Streszczając: uwolniwszy się z delikatnej materii Emma rzucia się na Garbusa. Szamotanina nie trwała długo, Emma wyszła z niej zwycięsko. Najtrudniej przyszło jej ściągnąć łachy z Garbusa, zwłaszcza brudną szmatę – koszulę? kamizelkę? Wkrótce nasz bohater był równie nagi, co bezradny.

Poruszyliśmy mimochodem – pisząc „bezradny" – kwestię dość istotną; zachowania się bohatera podczas tej dramatycznej sceny. Otóż bohater nasz był tak zaskoczony, że pierwszy gest obrony stanowił reakcję znacznie opóźnioną i poprzedzał bezpośrednio kapitulację. I ten opis – uproszczony, rzecz jasna – musi Ci, Czytelniku, wystarczyć. Nie o to chodzi...

A gdy Emma leży już uspokojona, gdy już wie, jak wygląda prawdziwa wolność, prawdziwe szaleństwo, Garbus ubiera się w pośpiechu, byle jak, pokwikuje dziko, dopada drzwi, zamknięte! Emma wskazuje szlafrok, Garbus drżącymi rękami szuka kieszeni, mocuje się z zamkiem, wypada na korytarz i pędzi na łeb na szyję po schodach. Za chwilę z ulicy dobiega obłąkańczy turkot wózka...

Oczywiście, drogi Czytelniku, scenę finałową ujęliśmy na jeden z wielu możliwych sposobów. Przyznajemy: w ten opis nie włożyliśmy wiele serca. Można tu było położyć większy nacisk na realia, można było zastosować głęboką symbolikę, wreszcie ujęcie dualistyczne – próba spojrzenia na sytuację – przemiennie – od strony bohatera i Emmy też było kuszące. Powiedzieliśmy jednak, że scenę finałową traktujemy marginalnie, co jest chyba dostatecznym wyjaśnieniem jej powierzchowności.

Zajmijmy się teraz Emmą, potrzebny jej jest w tej chwili moment zainteresowania, wymaga tego zresztą zwykła przyzwoitość czy rzetelność narracji. Emma idzie do łazienki, bierze gorącą kąpiel, toaleta trwa dłużej niż zwykle; wpatruje się uważnie w lustro, jakby pierwszy raz widziała swoją twarz, swoje prawdziwe oblicze.

Łatwo zaakceptować siebie, w każdej postaci, a może nie tyle zaakceptować, co przywyknąć. Można wprawdzie obnosić się ze swym postępkiem, wyzywająco i dumnie, ale to już obliguje do dalszych szaleństw, jest pełną akceptacją, nie przyzwoleniem. Czy Emma zdolna będzie kiedykolwiek do „delikatnego uczucia samozachwytu"? Przekroczyła jakiś próg, poza którym radość jest możliwa tylko z domieszką melancholii? smutku? I właściwie całe to opowiadanie stanowiło pretekst dla tej właśnie konstatacji.

JESZCZE SŁÓW PARĘ...

Dlaczego w opowiadaniu naszym występuje akurat garbaty szmaciarz? Czy nie osiągnęlibyśmy większego efektu, gdyby bohaterem był – zwłaszcza w scenie finałowej – np. pies? Do sodomii przecież droga znacznie trudniejsza niż do najszpetniejszej nawet istoty ludzkiej. Wolność Emmy byłaby więc pełniejsza, wola Emmy triumfowałaby już nie tylko nad kanonami estetycznymi, ale nad prawem, moralnością, ba – nad samym niemal człowieczeństwem. Wprawdzie może i okup byłby większy – miast melancholii odraza lub wstręt – ale każda wolność ma swoją cenę i żadna cena nie jest tu zbyt wygórowana.

Zrezygnowaliśmy jednak z psa, bo po pierwsze: obawialiśmy się nieżyczliwości wobec tego przemiłego skądinąd czworonoga, po drugie: obawialiśmy się trudności warsztatowych. Zmieściliśmy się więc w tzw. granicach przyzwoitości. Zresztą brzydota naszego bohatera jest równie rzadka, jak przypadki niepatologicznej sodomii.

A dlaczego „Portret bohatera"? Po prostu dlatego, że – nie uwłaczając Emmie – to on jest postacią główną naszego opowiadania. Subkultura Żyjących z Odpadów jest bowiem, wbrew pozorom, bardzo szeroka. I ten pokraczny Garbus, jak na ironię obwołany bohaterem i sportretowany, to prawdziwe gówno cywilizacji stało się dla Emmy szansą wyzwolenia, wolności – zatem uczucia piekielnie wysublimowanego, dostępnego subtelnym, r. zeciętnym intelektom. Kiedy więc mowa o wydzielinach ostatecznych należy ostrożnie formułować sądy: nie wiadomo co, kiedy i komu może się jeszcze przydać.

...Więc przyjrzyjmy się, raz jeszcze, portretowi bohatera; ileż to jeszcze sensów nadać można dzięki niemu własnej egzystencji.

„Niski, chudy lub raczej wychudzony; cienkie nogi wykrzywione pod ciężarem bezkształtnej narośli, ogromnego garbu...".

PORTRET BOHATERA

Niski, chudy lub raczej wychudzony; cienkie nogi wykrzywione pod ciężarem bezkształtnej narośli – ogromnego garbu; głowa wciśnięta w wąskie ramiona, czaszka spłaszczona, twarz żółta; policzki i nos pokryte sinawymi liszajami; wpół otwarte usta ociekają śliną, ślina spływa po cofniętej nad miarę brodzie, kapie na brudną szmatę – koszulę? kamizelkę? – trudno powiedzieć; wielkie czerwone dłonie manipulują wokół paska – po prostu zbyt luźne spodnie (wypłamione, pomięte, przegniłe w kroku) opadają często. Garbus przydeptuje sobie nogawki, bełkocze coś pod nosem, zatrzymuje się i raz jeszcze podciąga portki... O, właśnie. Gdyby nie opuszczony wzrok, być może dostrzegliby-śmy w oczach bohatera niemy wyrzut, jakąś bolesną pretensję do spodni – wszak gniewamy się czasem na rzeczy, ale w tym wypadku ponosi mnie chyba wyobraźnia; faktem jest, że Garbus patrzy w ziemię, może na czubki swych koślawych butów, a może dostrzegł właśnie niedopałek papierosa z ustnikiem, leżący tuż obok prawego buta. Jeszcze tylko słów kilka o scenerii towarzyszącej: na planie drugim wózek szmaciarza, jeszcze pusty, w perspektywie ulica; jakaś obskurna brama, mała fabryczka, skład węgla – okolica peryferyjna – kilku szarych przechodniów wtopionych w łeń beznadziejny pejzaż...

PRZYJAŹŃ POETÓW

Polska poezja znana jest naszym południowym sąsiadom od kilku dziesiątek lat. Częste, a bywało, że serdeczne przyjaźnie łączyły polskich i czeskich poetów. Na przykład przyjaźń łódzkiego poety lat trzydziestych i czterdziestych — Juliana Tuwima z Franciszkiem Halasem — wybitnym już wtedy, a dziś znanym, cenionymi i lubianym poetą, autorem wielu przekładów polskiej poezji przyniosła naszym kulturom wartości niepowtarzalne. A nam zarówno, Czechom jak i Polakom ładunek romantycznego entuzjazmu, który często był drogowskazem do poznania naszej literackiej współczesności.

Pomiędzy poetami łatwo jest znaleźć wspólny język, ale polsko-czeskie kontakty nie były łatwe. Przeszliśmy długą drogę budując most przyjaźni między naszymi krajami — ludźmi, pisarzami, poetami. Poeci jednak niechętnie ujawniają swe pisarskie ideały mając nadzieję, że zakamuflowane idee pozostawią czytelnikowi większe pole do domysłów, do przypisania dzieł myśli, o które autorowi bezpośrednio nie chodziło.

Jednym z najbardziej znanych i chyba najbardziej pracowitych jest Jan Pilar — vicedyrektor i zastępca redaktora naczelnego wydawnictwa Ceskoslovensky Spisovatel (Wydawnictwo Literatury Pięknej). Jest to poeta, który mówi o sobie: „z pamięci mogę powiedzieć, że wydałem tylko trochę mniej książek niż mam lat, że czternaście z nich to zbiorki oryginalnej poezji, kilka książek dla dzieci i trzydzieści przekładów poezji, z których równo dwadzieścia pięć jest poświęconych poezji polskiej". Ostatnią pozycją opracowaną przez Jana Pilara jest antologia polskiej poezji współczesnej, wydana w 30-lecie Polski Ludowej. Jest w niej sto wierszy dziesięciu najwybitniejszych poetów z Różewiczem, Harasymowiczem, Baczyńskim i Nowakiem na czele. „Z perspektywy zagranicznego czytelnika — mówi Jan Pilar — historia generacji i ich spory są nieważne. Okres trzydziestu lat był wystarczająco długi, aby społeczne procesy i zmiany nie wpływały na złożoną ewolucję jednolitych poetów, którą chociaż częściowo chciałem oddać" (we wspomnianej wyżej antologii — przyp. MAJ).

Poza Pilarem nad polską literaturą pracuje Erich Sojka — polonista, wybitny tłumacz prozy i poezji. Jego dorobek liczy około 50 tytułów z literatury pięknej i obejmuje między innymi J. Kochanowskiego, A. Mickiewicza, J. Słowackiego, A. Fredrę, H. Sienkiewicza, B. Prusa, S. Żeromskiego i wielu innych.

Sojka tłumaczy bardzo wiele drobniejszych utworów, które zamieszcza w różnych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych. Opracował wiele słuchowisk polskich dla radia i telewizji. Napisał dialogi do wielu polskich filmów.

Podobnym zresztą dorobkiem mogą się pochwalić inni: O. Holan, J. Simonides, i F. Halas. Simonides, który jest także wiceprezesem Towarzystwa F. Chopina w Mariańskich Łaźniach poświęcił dużo czasu przygotowaniom do koncertów z okazji dni kultury polskiej w Czechosłowacji. Pośród tych wybitnych dla polskiej literatury ludzi, znakomite miejsce należy się Karelowi Krejcemu. Profesor jest akademikiem Instytutu Literatury Czeskiej w CSAV, przez wiele lat wykładał w Uniwersytecie Karola — jest znawcą wybitnym jeśli chodzi o polską literaturę, a kontynuatorem dzieła prof. Mariana Szyjkowskiego, który przed 50 laty utworzył kierunek polonistyki na tym najstarszym praskim Uniwersytecie. Prof. Krejcy wychował wielu tłumaczy — polonistów, opracował wielę monografii o literaturze polskiej specjalizując się głównie w epoce romantyzmu, tak polskiego jak i czeskiego.

Chciałbym ten szkic zakończyć znamiennym fragmentem rozmowy z Janem Pilarem: „Po ukazaniu się tej książki („Pławienie koni" — przyp. MAJ) doznałem olbrzymiej satysfakcji. Krytyka poświęciła jej jednoznacznie pozytywną i obszerną ocenę, a czytelnicy przyjęli ją jako ciepły ludzki głos, jako wyznanie wiary za którym wyczuwa się wielką indywidualność, pełną bogatej wiedzy, przeżyć i doświadczeń. Jej prostą naturalność podziałała jak objawienie".

Więc jednak wysiłek i zaangażowanie tłumacza daje ludziom radość z odkrycia nowych wartości, nowych idei, nowych myśli, które frapują zagranicznego czytelnika naszej literatury.

MARIUSZ A. JAKUBOWSKI

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

Centralna prasa radziecka zamieszcza na pierwszych kolumnach artykuły poświęcone zadaniom wykonania planu na rok 1975 oraz zobowiązaniom załóg produkcyjnych o wykonanie i przekroczenie zadań roku dziewiątej pięciolatki. W artykule wstępnym zamieszczonym w „Prawdzie" czytamy między innymi: „Podnosząc autorytet wydajnego wysiłku bohaterów pracy i przodowników pięciolatki, wytwarzając pryncypialną opinię publiczną wokół winnych naruszania dyscypliny pracy oraz faktów niechlujnego gospodarowania i braku dyscypliny, nie wolno zapominać, że o efektywności pracy decyduje przede wszystkim umiejętność zorganizowania pracy i kompetentnego kierowania. Nic nie przynosi tak wielu szkód współzawodnictwu i ideowemu wychowaniu ludzi, jak frazeologia i formalizm, bezmyślne pasjonowanie się hałaśliwymi efektami ze szkodą dla codziennej pracy organizacyjnej i politycznej".

* * *

CSRS pogłębiając braterskie więzi z krajami socjalistycznymi, rozszerza również kontakty polityczne i gospodarcze z krajami Zachodu. W Helsinkach przebywał z wizytą minister spraw zagranicznych CSRS — Bogusław Chnoupek. Prowadzone tam rozmowy dotyczyły, m.in., bezpieczeństwa europejskiego oraz dalszego rozwoju współpracy między obu krajami. Podpisano też długoletnią umowę handlową, jak również porozumienie o likwidacji taryfy celnej we wzajemnej wymianie towarowej. W ub. tygodniu podpisano w Bonn, w ramach normalizacji stosunków między CSRS i RFN, umowę o przyszłej współpracy gospodarczej przemysłowej i technicznej. Niedawno CSRS nawiązała również kontakty z Portugalią w sprawie rozwoju współpracy handlowej. Uzgodniono, że jeszcze w pierwszej połowie bieżącego roku CSRS i Portugalia podpiszą, obopólnie korzystną, umowę handlową.

* * *

Niemiecka Republika Demokratyczna stale rozszerza stosunki z wysoko uprzemysłowionymi krajami kapitalistycznymi. Ostatnio członek Biura Politycznego KC SED, pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów NRD — Guenter Mittag, na zaproszenie rządu japońskiego, złożył wizytę w Japonii. Komentatorzy polityczni podkreślają fakt, iż na takim szczeblu oficjalni reprezentanci władz politycznych i państwowych NRD przebywają w Japonii po raz pierwszy. Ze składu delegacji NRD wynika, że rozmowy będą dotyczyć rozszerzenia wzajemnej współpracy, głównie w zakresie przemysłu metalowego i chemicznego. W skład delegacji NRD wchodzi, między innymi, przewodniczący Akademii Nauk NRD — prof. dr Herman Klare, co wskazuje, iż w ślad za zwiększeniem obrotów towarowych ulegnie również rozszerzeniu współpraca naukowo-techniczna między obu krajami. Jako warunek współpracy wysuwa NRD zasadę wzajemnej korzyści. Oznacza to, że wraz ze zwiększeniem eksportu japońskiego musi nastąpić równoległe zwiększenie importu z NRD.

* * *

Rumuńskie środki informacji podkreślają duże znaczenie wizyty premiera Rumunii M. Manescu w Syrii. Na uwagę zasługuje poparcie premiera Manescu dla stanowiska Syrii w sprawie Bliskiego Wschodu. Obserwatorzy polityczni w Rumunii odnotowali fakt, że 30 stycznia br., w Bukareszcie, szefowie arabskich przedstawicielstw dyplomatycznych oraz stały przedstawiciel Organizacji Wyzwolenia Palestyny wydali przyjęcie z okazji 10 rocznicy rewolucji palestyńskiej.

* * *

Dziennik Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej „Mindżu Czoson" zamieścił artykuł, poświęcony 30 rocznicy wyzwolenia hitlerowskiego obozu zagłady w Oświęcimiu. Autor artykułu pisze, iż barbarzyństwo jakiego dopuścili się hitlerowcy w obozie śmierci w Oświęcimiu jeszcze dziś budzi odrazę i gniew wszystkich miłujących pokój narodów świata. Artykuł z okazji rocznicy wyzwolenia Oświęcimia zamieścił także organ KC Partii Pracy Korei — „Rodong Sinmun".

* * *

Agencje zachodnie zamieszczają obszerne informacje o wynikach realizacji w ZSRR planu gospodarczego na rok 1974. Francuska Agencja Prasowa AFP zwraca m. in. uwagę, że duży wzrost wydajności pracy — o 6 i pół procent w 1974 roku — zapewnił 84 procent całości wzrostu produkcji przemysłowej. AFP przytacza dane z komunikatu Centralnego Urzędu Statystycznego ZSRR, podkreślając znaczny wzrost płac i obrotów handlu detalicznego. Zwraca ona także uwagę, że liczba zatrudnionych w gospodarce ZSRR wzrosła o 2 miliony osób i że w 1974 roku gospodarka Związku Radzieckiego otrzymała 1.800.000 nowych specjalistów, w tym 700 tysięcy z wykształceniem wyższym.

(st)

„JEŚLI WYJDZIESZ UWOLNIMY JĄ..."

Do Rzymu przybyły już dwie grupy uchodźców chilijskich, którzy, po zagarnięciu władzy przez juntę wojskową, schronili się w ambasadzie włoskiej w Santiago.

Pozostaje tam nadal grupa około 150 uciekinierów, wywodzących się z różnych warstw społecznych, ludzi oderwanych od domów i od swoich bliskich, zmuszonych do bytowania w w niezwykle ciężkich warunkach. Niektórzy z nich przebywają w ambasadzie włoskiej już od ponad roku, inni od kilku miesięcy, a jeszcze inni — od kilku tygodni, a nawet od kilku dni. W szczególnie trudnych warunkach znajdują się dzieci.

Nie tak dawno — pisze korespondent mediolańskiego „L'Europeo" w jednym z numerów tego tygodnika z grudnia ub. roku — willę ambasady ostrzelano z broni automatycznej. Kilka dni później, mimo najdalej idących środków ostrożności podjętych przez uciekinierów, jeden z nich znikł bez śladu. W końcu października ub. roku, na dziedzińcu ambasady znaleziono zwłoki młodej kobiety. Dwa dni przed tym wydarzeniem Lunię Moija — takie nazwisko nosiła zabita — widziano w jednym z komisariatów policji. Kobieta znajdowała się w stanie największego przerażenia. Przypuszczano, iż zmarła podczas śledztwa w izbie tortur. Później jej zwłoki przerzucono przez parkan otaczający budynek ambasady włoskiej. Dało to powód prasie junty wojskowej do nieokiełznanej kampanii przeciwko włoskim dyplomatom, w której oszczerczo obwiniano ich o dokonanie zabójstwa.

Uciekinierzy utworzyli wewnętrzny komitet ochrony, którym kieruje chilijski profesor pedagogiki. Niewysoki, krępy, o barkach i szyi zapaśnika, twardy i nieustępliwy, ukrywa się w ambasadzie już od lipca 1974 r. Posiadając niepospolitą siłę fizyczną, dosłownie przerzucił żonę i ośmioro dzieci przez ogrodzenie ambasady, a następnie sforsował je sam. Policja usiłowała go schwytać za wszelką cenę, profesor bowiem był znanym działaczem Socjalistycznej Partii Chile.

Wśród uciekinierów znajduje się Umberto Sotomaior, 33-letni lekarz, członek politycznego kierownictwa partii „Lewicowy Ruch Rewolucyjny". Jest to jedyny człowiek, którego prawdziwe nazwisko można wymienić, gdyż znają go wszyscy. O jego ucieczce z rąk junty wojskowej krążą legendy. Wraz z przywódcą „Lewicowego Ruchu Rewolucyjnego", Miguelem Enriquesem, ukrywał się w jednym z domów w dzielnicy San-Miguel. Tam zaskoczyła ich policja. Około 200 tajnych agentów policji otoczyło dom, wzywając ich do złożenia broni. Obaj odpowiedzieli strzałami. W trakcie wymiany ognia Enriques zginął. Mimo rany w nodze, Sotomaior wyskoczył z okna i ukrył się w pobliskim domu. Po kilku godzinach dobrnął do ambasady włoskiej, sforsował parkan z żelaznych sztachet i mocno już wykrwawiony upadł na dziedzińcu ambasady. Blisko miesiąc nie opuszczał pokoju w obawie, że zastrzeli go jakiś strzelec wyborowy, ukryty w sąsiednim domu. Udzielenie azylu Sotomaiorowi w ambasadzie wywołało szczególne niezadowolenie junty, która rozpętała nowe prowokacje.

Jest tu także weteran Socjalistycznej Partii Chilę. W ambasadzie włoskiej znalazł się jako jeden z pierwszych uciekinierów. Jest z żoną. Za rządów prezydenta Allende był kierowcą samochodowym w komitecie centralnym partii socjalistycznej. Policja Pinocheta tropi kierowców, wożących niegdyś wielu działaczy politycznych z taką samą zaciekłością, jak i przywódców nielegalnych dziś partii politycznych. Kierowcy znają niemało adresów i ludzi związanych z partiami, zepchniętymi dziś do pracy w podziemiu.

Jedną z najważniejszych czynności Chilijczyków, żyjących w tych dramatycznych okolicznościach, są stałe dyżury przy telefonie. Jest on centralnym punktem zainteresowania i zarazem przedmiotem nienawiści, zwiastunem nieszczęścia. Początkowo włoscy dyplomaci chcieli zdjąć aparat w trosce o bezpieczeństwo uciekinierów. Później jednak zmienili zdanie, uprzedzając jednak, iż wolno go używać tylko w sytuacjach ostatecznych. Ale czyż dla rodzielonych mężów i żon, rodziców i dzieci może istnieć jakaś inna „sytuacja ostateczna" poza pragnieniem usłyszenia głosu bliskiego sobie człowieka, który by pocieszył, przestrzegł, poradził? Było oczywiste, że rozmowy podsłuchuje policja. Ale pewien inżynier — komunista, podłączył do sieci telefonicznej woltomierz, który chyba cudem tylko mógł się znaleźć w ambasadzie. I odtąd było już wiadomo: kiedy napięcie w sieci spada — linia jest na podsłuchu. Przy telefonie wisi kartka z napisem: „Towarzysze, tylko trzy minuty". Ale i bez tego ostrzeżenia rozmowy trwają krótko, a nieraz rozmówca kończy ją raz na zawsze. Na przykład pewnemu adwokatowi ukrywającemu się w ambasadzie jego matka powiedziała: „Proszę cię, nie dzwoń do mnie więcej. Po każdym twoim telefonie nachodzi mnie policja i przewraca w domu wszystko do góry nogami". A bardzo niedawno, jedna z młodych kobiet, członek partii socjalistycznej, po otrzymaniu przez telefon jakiejś tragicznej wiadomości popełniła samobójstwo, zażywając wielką ilość środków nasennych.

Któregoś rana wewnętrzny komitet ochrony uciekinierów przeprowadził długą rozmowę z „nowicjuszem", któremu udało się przedostać do ambasady. Przede wszystkim badano, kim jest i za co go prześladowano. Prowokacje junty nie ustają i trzeba zachować daleko idącą czujność.

— W ciągu wielu miesięcy ukrywania się w ambasadzie — powiedział wspomniany już profesor pedagogiki — przekonaliśmy się na własnych doświadczeniach, jak po jezuicku wyrafinowana jest szpiegowska technika junty wojskowej. Pewnego razu, kiedy nie funkcjonował jeszcze wewnętrzny komitet ochrony, w ambasadzie pojawiło się dwóch nowoprzybyłych, którzy, podobnie jak inni, przedostali się przez ogrodzenie. Społeczność uciekinierów przyjęła ich nie poddając wnikliwszym badaniom. Po tygodniu znikli. Ci którzy byli z nimi zbyt otwarci musieli za to drogo zapłacić dowiadując się kilka dni później przez telefon (ten sam przeklęty telefon!), że ich bliskich, w tym również dzieci, aresztowała policja.

Kiedyś policjanci przyprowadzili pod sztachety ogrodzenia żonę jednego z uciekinierów. „Jeżeli wyjdziesz, uwolnimy ją!" — krzyknął policjant. Przyjaciele powstrzymali ukrywającego się uchodźcę od nierozważnego kroku. Teraz, żeby podtrzymać go na duchu, jest przy nim zawsze któryś z towarzyszy niedoli.

Attache handlowy ambasady, Roberto Toscano, ma mnóstwo spraw do załatwienia. Przede wszystkim, zaraz po rozpoczęciu pracy, musi wyperswadować dzieciom chilijskim, że „nie może ich dziś powozić samochodem po mieście". Później zaczyna przeglądać notatki z prośbami dorosłych. Potrzebna jest pomoc lekarska dla dziecka, które spadło z drzewa na dziedzińcu ambasady. Ale wezwanie lekarza jest problemem. Trzeba było wiele trudu, żeby namówić pewnego starego lekarza do wejścia na teren ambasady. Po jego wyglądzie — pisze korespondent „L'Europeo", który był przy tym — można by sądzić, że czuł się jak Maria Antonina, prowadzona do Bastylii. Teraz dziecko czuje się lepiej, ale ojciec prosi o powtórną wizytę lekarza. Autor następnej notatki prosi o informację, co stało się z jego żoną, następnie jeszcze jedna prośba o wezwanie lekarza... Chilijscy uciekinierzy często proszą ambasadę o pomoc lekarską i jest to zrozumiałe: wielu z nich ciężko choruje. Większość przeszła przez policyjne izby tortur. Poza tym życie w warunkach nieustannego oblężenia i niepewności łamie ich moralnie i psychicznie.

Istnieje jeszcze jeden problem. Włoscy dyplomaci są krańcowo ograniczeni w środkach. Ich uposażenia pozostały jeszcze na poziomie sprzed trzech lat, kiedy w Chile nie było dzisiejszej astronomicznej inflacji. Pracownicy ambasady dokonują prawdziwych cudów zręczności, by zapewnić uchodźcom jaką taką egzystencję. Jednakże najbardziej niepokojące i niebezpieczne są prowokacje policji i naciski junty na ambasadę. Policja wciąż powraca do sprawy zwłok Lunii Moija, znalezionej na dziedzińcu ambasady, a zamordowanej de facto przez policję, o czym była mowa na wstępie. Przedstawiciele junty prosili nawet o wpuszczenie na teren ambasady dwóch sędziów śledczych w celu przesłuchania wszystkich znajdujących się tam osób. Żądanie to odrzucono. Ukrywający się w ambasadzie pewien młody reżyser chilijski, którego filmy ogląda dziś cała Europa, wyrażając pogląd wszystkich uciekinierów, powiedział: „Chilijscy faszyści chcą odziać w togę praworządności tę całą farsę, której autorami są oni sami". Nawiasem mówiąc, amerykańska agencja United Press International poinformowała, że sekcja zwłok Lunii Moija wykazała, iż poniosła ona śmierć na krześle elektrycznym. W ten sposób prowokacja junty została ostatecznie i kompromitująco zdemaskowana.

Czy wśród chilijskich uciekinierów działa donosiciel? A jeśli tak, to kto nim jest? Sprawa ta już od wielu tygodni męczy uciekinierów. Kim jest ów szpieg? Może ten policjant? Pojawił się w ambasadzie niedawno. W biały dzień, ubrany w cywilne ubranie. Wysiadł spokojnie z taksówki i w momencie, gdy karabinier pilnujący ambasady odwrócił się tyłem wszedł na ogrodzenie i zeskoczył na dziedziniec. Nikt mu nie pomógł. Któregoś dnia jakiś mężczyzna podbiegł do ogrodzenia i przez sztachety zaczął błagać: „Przyjaciele, pomóżcie"! Jeden z młodych Chilijczyków w porywie wspaniałomyślności rzucił się do ogrodzenia i podał mu rękę. W tym momencie chwyciło ją czterech policjantów, ukrytych w pobliżu prowokatora. Wyciągnęli go za ogrodzenie i uprowadzili.

Więc może ten były policjant jest szpiegiem junty? Po szczegółowym badaniu wewnętrzny komitet ochrony doszedł do wniosku, że jest on „czysty". W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. A ten jeden procent? Któż więc jest szpiegiem? A może na terenie ambasady w ogóle nie ma szpiega junty? Może wszystkie podejrzenia są płodem wyobraźni ludzi udręczonych, skrajnie wyczerpanych fizycznie i psychicznie, doprowadzonych do rozpaczy nie kończącymi się prowokacjami policji. Chilijska junta wojskowa, wbrew protestom światowej opinii publicznej i uchwałom XXIX sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ nie ustaje w okrutnym prześladowaniu wszystkich postępowo myślących Chilijczyków, niezadowolonych z panoszącej się w Chile faszystowskiej dyktatury. Patrioci tego umęczonego kraju są jednak głęboko przekonani, że juntę chilijską czeka podobny los, jaki spotkał juntę „czarnych pułkowników" w Grecji i faszystowską dyktaturę Salazara.

JERZY CZECH

OSTATNIE TANGO GENERAŁÓW

Na pewnym przyjęciu spytano dowódcę sił zbrojnych reżimu Lon Nola, gen. Sostena Fernandesa, co zamierza zrobić, jeżeli Kongres USA uchwali drastyczną redukcję pomocy dla Kambodży. Generał uśmiechnął się z przymusem, podniósł ręce do góry, wyrażając gest poddania się przeciwnikowi i powiedział po francusku: „Zrobię właśnie to"...

Czy mówił poważnie? Trudno powiedzieć. Ale nie ulega wątpliwości, że wstrzymanie pomocy USA doprowadzi ten do gruntu zdemoralizowany reżim do rychłego upadku. „Czarny humor" generała jest w istocie wyrazem stosunku narodu kambodżańskiego do groteskowego reżimu w Phnom Penh. Wiadomo przecież, choć środki informacji krajów zachodnich starają się przemilczać ten fakt, że wzrost inflacji w kraju sięga już 300 procent, a oddziały powstańcze Ludowych Sił Zbrojnych Wyzwolenia Narodowego kontrolują, z wyjątkiem dużych miast, niemal całe terytorium kraju i większość dróg strategicznych.

Niedawno amerykański doradca ekonomiczny częstował w żałosnym, stołecznym „L'Hotel de Phnom" przed obiednim coctailem kilku swoich znajomych. Jeden z zaproszonych gości, reporter, który dopiero co powrócił z rejonów objętych walkami zauważył, że żołnierze reżimu są zmęczeni wojną i zdemoralizowani. Doradca energicznie zaopanował:

— Oni wcale nie są zmęczeni. To bzdura, absurd Trzeba im tylko dać dobre dowództwo.

— Och, przestań John — wtrąciła się jego żona, dotąd w milczeniu słuchająca rozmowy. — Ty przecież też jesteś w podłym nastroju, podobnie jak wszyscy. I spierasz się tylko dlatego, że rozmawiasz z dziennikarzem...

Przedmieścia Phnom Penh przedstawiają obraz nędzy i rozpaczy. Pewien 33-letni nauczyciel nie może utrzymać rodziny za pensję równą 9 dolarom miesięcznie i dorabia w czasie wolnym od pracy „wprzęgnięty" do rikszy. Czasem uda mu się zarobić 30 centów w ciągu dnia. Wszędzie gromady dzieci, w okropnych łachmanach, dopominają się jałmużny.

W porcie na rzece Mekong robotnicy portowi zatrudnieni przy wyładunku ryżu i pszenicy zarabiają nędzne grosze. Starają się więc odsypywać ziarno do specjalnych kieszonek wszytych w łachmany. Po skończonej pracy, kiedy wychodzą z portu przez wąskie przejście w żelaznej bramie żołnierze policji wojskowej biją ich pięściami i pałkami dopóty, dopóki ukryte ziarna ryżu i pszenicy nie wysypią się na ziemię.

Tor Keu jest jednym z tysięcy dzieci-żołnierzy w armii kambodżańskiej, które znalazły się w okopach tylko dlatego, że muszą zarobić trochę pieniędzy na życie. Tor Keu twierdzi, że ma 18 lat, „bo tyle trzeba mieć", żeby być w wojsku. W rzeczywistości to przerażone dziecko nie ma więcej niż 12 lat.

W listopadzie ub. roku pojawiły się w prasie informacje, że amerykańscy specjaliści wojskowi w Syjamie, na podstawie danych z lotów wywiadowczych samolotów amerykańskich nad terytorium zajętym przez powstańców, doradzali wojskom rezimowym bombowe ataki z powietrza. Pentagon wystąpił natychmiast z oświadczeniem: „Nie dajemy poleceń — powiedział przedstawiciel resortu wojskowego — byłoby to bowiem naruszeniem zakazu Kongresu". W gruncie rzeczy, jak oświadczył Pentagon", „dane potrzebne dla wywiadu są kontrolowane i dopiero wtedy przekazywane wojskom kambodżańskim, ale decyzję, co należy z nimi robić, podejmują one same"...

Któregoś dnia pewien pracownik ambasady USA zdementował przed dziennikarzami w Phnom Penh pogłoski, że ambasada stale narusza zakaz Kongresu w sprawie korzystania z pomocy amerykańskich doradców wojskowych w Kambodży. Urzędnik ów stwierdził, że ambasada nie udziela porad o charakterze wojskowym.

W chwilę później nieoczekiwanie zadzwonił telefon. Urzędnik rozmawiał z kimś przez kilka minut, odłożył słuchawkę, po czym poinformował zaproszonych dziennikarzy, że powstańcy kambodżańscy właśnie w tej chwili otworzyli silny ogień na rzeczną karawanę i dwie stutonowe barki z ryżem mogą wpaść w ich ręce.

— Dowództwo kambodżańskie pyta nas, co robić? — Proszą nas o radę — mówił bez zastanowienia urzędnik ambasady. W tej chwili ugryzł się w język, zorientował się bowiem, że powiedział za dużo i uśmiechnął się z zażenowaniem. Ale uśmiech nie ratuje od kompromitacji.

Ktoś w Phnom Penh musiał dobrze zarobić na wojnie, ponieważ korupcja ogarnęła wszystkie dziedziny życia w kraju. Istnieje, na przykład, specjalny „fundusz", wynoszący około 35 milionów dolarów w obcej walucie, głównie amerykańskiej. Specjalna klauzula zabrania nabywania z tych pieniędzy przedmiotów zbytku, jak również wydatkowania ich na cele nie związane z potrzebami państwa. Okazało się jednak, że rząd Lon Nola przekazał z tego „funduszu" pewnemu miejscowemu przemysłowcowi 500 tysięcy dolarów na import piwa, a później dalszych 200 tysięcy dolarów na zakup... zapałek, itd.

W listopadzie ub. roku duża grupa zdenerwowanych kambodżańskich oficerów, w większości generałów, zebrała się w prezydenckim pałacu Lon Nola, oczekując na wyniki głosowania w ONZ w sprawie Kambodży. Powód ogólnego podenerwowania nie był błahy: rząd mógłby upaść, gdyby miejsce Kambodży w ONZ przekazano królewskiemu rządowi jedności narodowej.

Kiedy wreszcie podano wyniki głosowania i okazało się, że Lon Nol zachował swoje przedstawicielstwo dzięki większości zaledwie dwóch głosów — obecnych ogarnęła euforia radości, szczęścia i siły. Generałowie, na czele z głównodowodzącym armią reżimową — gen. Fernandesem, puścili się w tany, ochoczo śpiewając francuską piosenkę: „Jakoś to będzie, piękna markizo"...

Podrygi bankrutów na beczce z prochem.

(c)

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

POEZJA O SPORCIE

Dziś sport stał się cyrkiem, kiedyś był sztuką piękną. Jeszcze u początków nowożytnych Olimpiad próbowano ratować tradycje sztuk pięknych towarzyszących sportowym zmaganiom. Nawet Polacy odnotowywali na tym polu niemałe sukcesy. W roku 1928 na Olimpiadzie w Amsterdamie złoty medal za „Laur olimpijski" otrzymał Kazimierz Wierzyński. Cztery lata później w Los Angeles Polacy zdobyli w dziedzinie sztuki dwa medale — złoty za rzeźbę, J. Klukowski i srebrny za grafikę, J. Konarska. Na kolejnej, ostatniej już przed wybuchem wojny, Olimpiadzie w Berlinie medale zdobyli J. Klukowski, J. Parandowski i S. Ostoja-Chrostowski. Po wojnie jeszcze złoty medal za muzykę otrzymał Zbigniew Turski. Dalej już było smutniej. Zwiększała się liczba umieśnionych medalistów — sztukę z olimpiad wycofano.

A przecież wcale to nie głupio wymyślili starożytni Grecy łącząc sport ze sztuką — muzyką, poezją, rzeźbą... Tylko że wówczas sztuka była sportowi niezbędna, któż bowiem miał nieść w lud słowa chwały i uznania, jak nie artyści? Dziś artystów zastąpiła telewizja i prasa.

O sporcie pisze się i mówi okropnym językiem przypominającym poza kilkoma wyjątkami bełkot, ale mówi się głośno i do milionów. A że są to słowa, które przemijają? No cóż, tego się pod uwagę nie bierze.

Stare rzymskie przysłowie mówi: „ars longa vita brevis", sztuka wieczna — życie krótkie. Tak jest! Chwała sportowa krótka, tym krótsza, że nie przedłuża jej dzisiaj wieczna sztuka.

Ale jednak rodzą się piękne inicjatywy w tej dziedzinie. A jeśli mowa o poezji o inicjatywie, to wiadomo, że musi tu paść nazwisko Jerzego Leszina. Bowiem to on — niestrudzony inicjator i animator w kręgu sztuki — kryje się za ową książeczką wydaną przez warszawski AZS.

Książeczka nazywa się „Almanach poezji o sporcie" i zawiera plon konkursu ogłoszonego przez Stołeczną Radę Koordynacyjną SZS-AZS na utwór literacki o tematyce sportowej. Album otwiera piękny, bardzo osobisty, bardzo wzruszający i mądry szkic Andrzeja Zaniewskiego.

A wśród wierszy cykl Romana Gorzelskiego, który w konkursie otrzymał pierwszą nagrodę. Pisała o tym w swoim czasie łódzka prasa codzienna, pisały i „Odgłosy". Dziś możemy się spotkać z tymi wierszami — choć za pośrednictwem felietonu tylko. „Almanach poezji o sporcie" ma, co prawda, nakład 1000 egzemplarzy, czyli dwukrotnie więcej niż tomiki renomowanych wydawnictw, ale do sieci księgarskiej nie trafi.

Myślę więc, że warto zaprezentować te poetyckie impresje na temat sportu. Otwierający cykl wiersz „Bieg olimpijski" drukowały zresztą „Odgłosy" w czasie Igrzysk w Monachium.

Wiersze Gorzelskiego mówią o sporcie, ale bardziej mówią po prostu o Człowieku. Mówią o „Białej linii startu z zakrzepłą czerwienią bieżni" — ale mówią też „o złamanej szpadzie i rozpędzonych na wiatr białych koniach..."

To cytaty z wiersza poświęconego pamięci polskiego długodystansowca, olimpijczyka, Janusza Kusocińskiego. Polaka, którego życie przebiegło między dwoma wystrzałami. Tym wystrzałem na starcie biegu w Los Angeles, biegu, który mu przyniósł złoty medal, i tym wystrzałem w pierś z hitlerowskiego karabinu, w Palmirach pod Warszawą w roku 1940 — wystrzałem, który mu przyniósł śmierć.

Wiersze Gorzelskiego nie są tylko pochwałą sprawności mięśni, są pochwałą postaw i pochwałą życia. Są apologią sportu pojmowanego jako trud hartujący ludzkie charaktery.

W starożytnej Grecji, w czasie trwania Igrzysk, poeci wygłaszali swoje utwory, ku czci zwycięzców komponowano pieśni. I właśnie dlatego w historii kultury Grecji olimpiady odegrały tak ogromną rolę. Do tamtych pięknych tradycji nawiązuje wydana przez AZS książka wierszy o sporcie.

Piękne przypomnienie o potrzebie symbiozy sportowych zmagań ze słowem poety.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DAMA Z PIESKIEM

Na łamach kilku pism ukazały się artykuły i listy różnych autorów na temat: czy graficy i karykaturzyści potrafią wykonywać swój zawód tylko do pewnego wieku, gdzieś tak do czterdziestki, poczym powinni przejść na renty inwalidzkie i umożliwić nareszcie prawdziwe odrodzenie sztuki graficznej na łamach „Szpilek", oraz czy „Szpilki" mają prawo obrażać i okadzać własnych współpracowników.

Kadzenie nie jest zabronione żadnym przepisem, cała reklama polega przecież właśnie na paleniu co najwonniejszych ziół. Wprawdzie międzynarodowy kodeks reklamy zabrania przy wychwalaniu jednych wyrobów — potępiać i wyszydzać inne, jednak kodeks ten dotyczy wyrobów materialnych, wymiernych, chciałoby się rzec — prozaicznych, podczas gdy karykatury są dziełami sztuki, emanacjami ducha, tworami artystów. Nie wolno wyszydzać szelek i ich producentów, ale gdzie tam karykaturzystom do producentów szelek!

W każdym razie artykuły o szpilkowej grafice przekonały mnie dobitnie o jednym: że wolno mieć na ten temat własne zdanie i nawet je publikować. Ośmielony tym przykładem, śpieszę poinformować Czytelników, że nie podobają mi się absolutnie rysunki pani B.W., zamieszczane od lat na prawach nieomal wyłączności w „Kulturze", a przedstawiające flaki i bebechy ludzkie w różnym (choć właściwie nie tak znowu w moich oczach różnym) ujęciu. Mimo to czytuję stale „Kulturę", bo poza flakami i bebechami wiele rzeczy mi się podoba.

Mimo niewątpliwej deformacji w moich upodobaniach graficznych chciałbym też czytać „Szpilki". Redakcja tego pisma nie ustaje jednak w staraniach, aby mi to skutecznie utrudnić. Może mam za mało albo za dużo dioptrii, może to wrodzona niezdolność do nowego spojrzenia: połowa „Szpilek" zadrukowana jest na czarno i w tej czerni ledwie migają poszczególne, maleńkie, białe literki. Są też rysunki, ciągnięte na czarnym tle białą kreską. To już nie są teksty i rysunki, tylko rozrywki umysłowe o trzecim stopniu trudności. Zanim człowiek dojdzie do zrekonstruowania, zrozumienia czy nie daj Boże uśmiechu, ma czarne od farby palce a pod powiekami biegają mu tysiące ostrokanciastych mrówek.

Owszem był nawet jeden rysunek czarny na białym. Podpisano go „Dama z pieskiem", chociaż na rysunku widać tylko siedzącą w brzydkiej pozie damę o szerokiej spódnicy. To było bardzo śmieszne i bardzo satyryczne: dama z pieskiem bez pieska. On był pewnie pod spódnicą. Ale draka... Co on tam robił, hi hi...

Trudne czy niemożliwe do odczytania, to fakt, za to imponujące konsekwencją. Skoro modny jest czarny humor, skoro inne kolory humoru nie są w tym sezonie noszone, to niech będzie czarny naprawdę. Na czarnym papierze. Resztki bieli, te przebijające się tu i ówdzie białe literki, też — mamy nadzieję — zostaną stopniowo zlikwidowane i zostanie jeden wielki, czarny humor abstrakcyjny. En mode!

Pewnie chodzi też o zasadę przekory, czyli dlaczego ma być zwyczajnie, kiedy można odwrotnie. Przez wiele lat „Szpilki" były pismem satyrycznym, ich racją bytu — zgodnie z tytułem — było kłucie, podkłuwanie, nakłuwanie, akupunktura. Pyszniły się swą ostrością, pisały o sobie: „stare „Szpilki' nie rdzewieją". Gdy się powiedziało o kimś, że został pochwalony w „Szpilkach", to był to komplement wątpliwy, budzący dyskretne prześmieszki. Teraz jednak przeżywamy gruntowne pomieszanie gatunków, co oprócz obfitości niespodzianek przyczynia też trochę poczucia względności, zagubienia, straty orientacji. Przecież połowa trzeciego numeru „Szpilek" to zaszczytna galeria ludzi zasłużonych, godnych ze wszech miar szacunku i naśladowania. Czy ich uhonorowanie należy akurat do „Szpilek" — mam niejakie wątpliwości.

Ludzie na szpilkowych rysunkach nie są ostatnio śmieszni, nie pobłaża się tu nikomu. Są odrażający, głupi, okrutni; są tacy jak w koszmarnych snach, groźni i paskudni. Wydmuchują w komiksach Mleczki swoje monologi, walą się po gębach, mordują. Czarny wystrój całości dodaje grozy szpilkowemu światu. Spomiędzy tego wszystkiego uśmiecha się ze zdjęcia pani Machulska i niezrównany Czesław Paczkowski. Cóż za pomieszanie z poplątaniem!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

PROWINCJONALIZM

Kiedy Stanisław Lem spotkał się sam na sam z telewidzami, a właściwie z Januszem Rolickim, który telewidzów reprezentował, padło wtedy pytanie

„Co stanowi o barierach naszej wyobraźni? Dlaczego nie umiemy wyobrazić sobie nieskończoności Kosmosu?"

Na to Stanisław Lem: — **„Modele czy inne wzory podług jakich przedstawiamy sobie rzeczywistość zawsze bierzemy z naszej praktyki... Jest to też kwestia treningu..."**

Fragmenty tych wypowiedzi zaczerpnąłem z zapisu magnetofonowego audycji, który to zapis udostępnił mi jeden z kolegów. Przypominam go tu fragmencikiem zaledwie nie dlatego, aby pisać o kosmicznej przyszłości naszej planety, ale, aby zwrócić uwagę na fakt, że również wyobraźnię można trenować. Stanisław Lem mówi bowiem dalej:

„Czy każdy z nas, jak tu siedzimy, potrafimy skoczyć nie mówmy już 2.20 m wzwyż, ale choćby 1.80? Ja nie skoczę. Ale jest to kwestia treningu. Tylko że to jest trening fizyczny, a tu chodzi o trening umysłowy. Jest on jeszcze straszliwszy niż można sobie wyobrazić".

Trening jest niezbędny w każdej dziedzinie życia. Można to różnie nazywać: praktyką, doświadczeniem. A w istocie jest to trening. Z wielkim smutkiem obserwuję, jak na przykład brak treningu w dyskusjach wszelkiego rodzaju czyni niemal nieodwracalne spustoszenia. Dyskusja bowiem zakłada dwa różne stanowiska, różne poglądy, które ścierają się z sobą w poszukiwaniu punktów stycznych, porozumienia. Jakżesz u nas często dyskusja zamienia się w składanie sprawozdań, jak często nie wnosi nic nowego do problemu, który się omawia, jak często ludzie mówią o tym, o czym już wszyscy doskonale wiedzą.

Ale jest i druga strona tej sprawy. Jak często, gdy dochodzi do wymiany poglądów, spór merytoryczny zamienia się w szermierkę epitetami i insynuacjami. Powoli przestaje dyskutujących obchodzić przedmiot sportu, a zaczynają wzajemnie obrzucać się wymysłami. A zawsze zdawało mi się, że dyskusja zasadniczo różni się od kłótni.

Byłem niedawno świadkiem takiej dyskusji, która zamieniła się w kłótnię, kiedy argumenty nagle zastąpiono insynuacjami. Smutne to na ogół i żałosne widowisko, gdyż wtedy zawsze u słabszego do głosu dochodzi krzyk. Kiedy już nie masz argumentów, kiedy już czujesz, że tracisz swoje pozycje w sporze, sięgasz po epitety i zaczynasz je wykrzykiwać i zdaje ci się, że w ten sposób bronisz swojej racji. Ta dyskusja na szczęście zakończyła się wzajemnym wymyślaniem od prowincjuszy. A podstawą do tego był fakt, że dyskutujący nie mieszkali w Warszawie.

Prowincjonalizm jest nader często używanym argumentem w sporach już toczonych nie na temat. Nie jest to oczywiście argument, jest to epitet, jeśli za podstawę bierze się miejsce zamieszkania, a nie sposób myślenia. A prowincjonalny, wąski, zaściankowy sposób myślenia można prezentować nie tylko w Kaliszu, Bochni, Krakowie, Łodzi, Koluszkach, ale i Warszawie. Żyjemy dziś w świecie, gdzie nowe wartości powstają nie tylko w centralnym punkcie, ale na całej połaci kraju. I to nie tylko nowe wartości ekonomiczne, polityczne, społeczne, ale też i kulturalne. Przypomnę tylko, że teatr Jerzego Grotowskiego powstał w Opolu i istnieje obecnie we Wrocławiu. Kazimierz Dejmek znów powrócił do Łodzi, a Ryszard Filipski podjął pracę w Nowej Hucie — dzielnicy Krakowa, w teatrze, który był kiedyś słynnym na całą Polskę imieniem Skuszanki.

Przed prowincjonalnym, wąskim, schematycznym myśleniem nie ustrzeże ani miejsce zamieszkania, ani dyplom czy tytuł. Prof. Szczepan Pieniążek mieszka w powiatowych Skierniewicach, a znany jest nie tylko w Polsce. Znany i ceniony, a głównie dzięki swojemu naukowemu dorobkowi, nie tylko dlatego, że ma tytuły i dyplomy.

W niedawnej audycji telewizyjnej „Progi i bariery" człowiekiem miesiąca został naczelnik straży pożarnej z Lubochni w powiecie Rawa Mazowiecka, bijąc o kilka punktów lekarza, zajmującego się akupunkturą. Dłużej niż wszyscy inni zainteresował 19 wymagających jurorów — którzy już jedli chleb z niejednego pieca — swoją żywiołowością, poczuciem humoru i zapałem. Lubochnia leży niedaleko Tomaszowa Mazowieckiego, przy drodze „E-82", prowadzącej do Rawy Mazowieckiej i dalej w świat. Można powiedzieć: głęboka prowincja i taki bardzo prowincjonalny naczelnik straży pożarnej bije na głowę w samej Warszawie kilku różnych ludzi, którzy może z racji swoich stanowisk i wykształcenia więcej zasługiwaliby na miano telewizyjnego człowieka miesiąca. Ale naczelnik straży pożarnej w Lubochni ma niekłamany autorytet w swoim środowisku. Swoją pracą dowodzi, że umie myśleć w sposób nieprowincjonalny, szerszy i bardziej społeczny niż to czyni niejeden mieszkaniec wielkiego miasta. Jego autorytetu nie bronią żadne przywileje, musi on nieustannie swoją pracą walczyć o trwałość tego, co sobie zdobył, o uznanie społeczeństwa Lubochni.

W czasach, gdy cały kraj nabiera przyśpieszenia, gdy nadrabiamy opóźnienia, gdy dokonują się przewartościowania w społecznej świadomości, warto czasem zastanowić się nad argumentami, jakich używamy w różnych sporach i dyskusjach. I myślę, że warto byłoby trochę potrenować w dyskusjach, aby oduczyć się zastępowania argumentów insynuacjami. Prawda wypowiedziana nawet szeptem brzmi donośniej niż niejedna bzdura głośno wykrzyczana.

MARCIN RODAK

AFRYKA

W różnych epokach, w różnych okresach rozwoju ludzkości w coraz to innych rejonach globu następował rozwój cywilizacji. Przez wiele setek lat ludy Afryki pozostawały jakby w uśpieniu. Dopiero w drugiej połowie XX wieku nastąpiło przebudzenie Czarnej Afryki. Powstały nowe państwa dochodzą do głosu nowe narody, kształtują się nowe społeczności.

Ale kultura Afryki liczy sobie kilka, a niekiedy i kilkanaście wieków. Dziś wiele plemion afrykańskich w swoich wolnościowych dążeniach, w programach kształtowania nowych narodów i państw, nawiązuje do tamtych, odległych czasów, nawiązuje do swoich, rodzimych tradycji.

My, Europejczycy zwykliśmy patrzeć na Afrykę z innego kręgu kultury, nie zawsze nasza wiedzy o Czarnym Kontynencie jest wystarczająca, aby odrzucić schematy, spróbować pojąć istotę dokonujących się tam procesów. W tym też celu, aby obalić wiele europejskich „poglądów" na Afrykę, Zygmunt Komorowski napisał książkę, którą zatytułował: „Wśród legend i prawd Afryki". Jest to książka oparta na obserwacjach własnych i materiale naukowym. Jest to próba przyjścia z pomocą Europejczykowi w zrozumieniu tego, co dzieje się we współczesnej Afryce, budzącej się do aktywnego życia.

Zygmunt Komorowski — „Wśród legend i prawd Afryki", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974, str. 176, cena: 30 zł.

PROPAGANDA

„Im bardziej wolny jest więc sąd człowieka w określonej kwestii, z tym większą koniecznością będzie określana treść tego sądu; natomiast płynąca z niewiedzy niepewność, która na pozór dowolnie wybiera między wieloma możliwościami rozstrzygnięć, właśnie przez to wykazuje, że nie jest wolna, że się znajduje pod władzą przedmiotu, którym właśnie powinna by zawiadnąć".

Tymi słowami Fryderyka Engelsa, zaczerpniętymi z „Anty-Dühringa", rozpoczyna Józef Mazurek książkę pod tytułem: **„Z teorii propagandy socjalistycznej".**

Jest to kolejna publikacja w cyklu „Książki i Wiedzy": **„Partia — Społeczeństwo — Propaganda".** Autor podjął próbę analizy metod działania propagandy brużuazyjnej i socjalistycznej, wyjaśnienia nieporozumień, jakie nagromadziły się wokół pojęcia propagandy oraz określił rolę i znaczenie propagandy w kształtowaniu socjalistycznej świadomości społecznej.

Działalność propagandowa we współczesnych społeczeństwach nabiera coraz większego znaczenia. Człowiek znajduje się pod przemożnym naporem informacji, dopływających do niego z różnych źródeł. Trwa walka ideologiczna między dwoma sprzecznymi systemami społecznymi. Jest to tym trudniejsza walka, że odbywa się w warunkach pokojowego współistnienia. Wymaga ona nieustannego doskonalenia metody propagandowego działania. Wymaga ofensywności od socjalistycznej propagandy, rosnącej wiedzy u ludzi zajmujących się propagandą. Z pomocą wszystkim pracownikom propagandy przychodzi książka Józefa Mazurka.

Józef Mazurek — „Z teorii propagandy socjalistycznej", Warszawa 1974, „Książka i Wiedza", str. 228, cena: 20 zł.

PODRĘCZNIK DLA DYREKTORA

Problemy współczesnego kierowania nowoczesnymi jednostkami produkcyjnymi od dawna zajmują teoretyków i praktyków. Jak najlepiej, najsprawniej zorganizować przedsiębiorstwo? Jak najskuteczniej nim kierować? Oto pytania, nad którymi głowią się specjaliści wielu krajów, szukając różnych rozwiązań, proponując coraz to inne schematy organizacyjne, inne metody i sposoby.

R. B. Kemball — Cook napisał książkę pt. „The organization gap", która w polskim tłumaczeniu Jerzego Lutosławskiego ukazała się pod tytułem: „Luka organizacyjna między teorią a praktyką". R. B. Kemball — Cook wykorzystał w niej doświadczenia wielu lat pracy swojej i innych w ośrodku P E Consulting Group, które zgromadzono w trakcie organizowania różnorodnych przedsiębiorstw i instytucji. I choć są to doświadczenia zebrane w innych warunkach ustrojowych, społecznych i politycznych, to przecież wiele ze zgromadzonych tu spostrzeżeń, doświadczeń i wniosków może i powinno z powodzeniem znaleźć zastosowanie i w naszych poszukiwaniach coraz to lepszych metod organizacji zarządzania.

Książka R. B. Kemball — Cooka pomyślana jest tak, że z powodzeniem może być traktowana jako podręcznik dla dyrektora, czy kierownika, który dąży do systematycznego usprawniania swojej pracy. Posiada załączniki w formie pytań kontrolnych i odpowiedzi, jakie powinny paść na te pytania oraz schemat informacji potrzebnych kierownikowi. A tłumacz zaopatrzył książkę dodatkowo w słowniczek podstawowych terminów.

R. B. Kemball — Cook „Luka organizacyjna między teorią a praktyką", Warszawa 1974, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, str. 278, cena: 17 zł.

JAK ROZWIJAĆ REGION?

Pojęcie regionu coraz częściej daje o sobie znać przy programowaniu współczesnego rozwoju kraju. Nie jest to już pojęcie ukształtowane tradycyjnie, oparte na powiązaniach historycznych, ale biorące pod uwagę wspólne cechy gospodarcze danego rejonu kraju, zasoby naturalne, tradycje wytwórcze, dominujące w tym rejonie przemysł. Praktycy zastanawiają się nad kształtowaniem regionów, wyszukując właściwe powiązania. Z pomocą im stara się przychodzić nauka.

Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne wypuściło na księgarski rynek książkę Czesława Bieleckiego pt. „Ekonomika i planowanie rozwoju regionu". Jest to próba podsumowania wyników badań naukowych nad problematyką kształtowania się regionów gospodarczych. A także próba odpowiedzenia na pytanie o rolę i miejsce regionów gospodarczych w planowaniu przestrzennego rozwoju Polski.

Czesław Bielecki zastanawia się też nad sprawami wielkich aglomeracji miejskich, starając się dać odpowiedź na pytanie o efektywność tych zgrupowań gospodarczych. Książka wiele miejsca poświęca sprawom praktycznym, podejmując również problemy kooperacji i lokalizacji inwestycji w regionach gospodarczych.

Czesław Bielecki — „Ekonomika i planowanie rozwoju regionów", Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1974, str. 333, cena: 25 zł.

WSPÓŁZALEŻNOŚĆ

Myślą przewodnią książki, która ukazała się pod koniec ubiegłego roku, która nosi tytuł: „Społeczne aspekty rozwoju gospodarczego", było ukazanie współzależności między rozwojem gospodarczym a społecznym. W ostatnich latach przywrócono u nas właściwe miejsce problemom postępu społecznego, któremu ma służyć postęp ekonomiczny, a między którymi istnieją ścisłe współzależności.

Książka ukazała się pod redakcją Jana Daneckiego, a wydało ją Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Zawiera ona zbiór artykułów i prac poświęconych kilku zagadnieniom: modelowi konsumpcji i warunkom życia, socjalistycznej polityce podziału oraz sprawom zatrudnienia. Zestaw prac poświęconych wymienionym powyżej zagadnieniom otwiera artykuł Mieczysława Jagielskiego: „Węzłowe problemy perspektywicznego planu społeczno-gospodarczego rozwoju Polski".

Wśród autorów, publikujących swoje prace są między innymi: Edward Lipiński Bogdan Suchodolski, Andrzej Tymowski, Mieczysław Kabaj.

Redaktor książki — Jan Danecki, również autor jednej z prac — postawił sobie zadanie zgromadzenia w niej publikacji przedstawicieli różnych dziedzin nauki, aby pokazać jak ważną rolę w realizacji programu rozwoju kraju odgrywa nauka.

L. W.

„Społeczne aspekty rozwoju gospodarczego" — pod redakcją Jana Daneckiego, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1974, str. 408, cena: 46 zł.

MAGAZYN
ODGŁOSY

IZAAK BABEL

JEZUSOWY GRZECH

Żyła Arina przy hotelowych pokojach koło schodów tuż obok paradnego wejścia, a Sierioga obok wejścia kuchennego jako młodszy dozorca. I był między nimi wstyd. W niedzielę przed ostatkami urodziła Arina Sierioże bliźniaki. Woda cieczе, gwiazda pobłyskuje, a chłop się gzi. Zaszła Arina po raz drugi w ciekawy stan, szósty miesiąc się toczy, bo potoczyste są te babskie miesiące. Sierioże trza w soldaty iść, ot i sprawa. Arina bierze i mówi:

— Czekać mi na ciebie, Siergunia, nie ma co. Cztery lata będziemy w rozłące, a za cztery lata mało co może się zdarzyć, nawet trojaczki mogę urodzić. W hotelu służyć — to samo co z podołkiem zadartym chodzić. Kto przyjdzie — ten pan, nawet Żyd, nawet każdy. Wrócisz z armii, a moje łono już będzie do niczego, zniszczoną kobietą będę, jak mi wtedy do ciebie?

— W rzeczy samej — kiwnął głową Sierioga.

— Teraz mam starających się: Trofimycz, dostawca — człowiek niekrzesany, też Isaj Abramycz, staruszek, starosta Nikolo-Świątskiej cerkwi, słabowity mężczyzna — bo mnie siła wasza bandycka duszę skręca, jak na spowiedzi mówię, zmordowali mnie już do reszty... Rozsypię się od dziś za trzy miesiące, zaniosę niemowlę do przytułku i wyjdę za któregoś z nich za mąż.

Sierioga to usłyszał, zdjął z siebie rzemień, przeciągnął nim Arinę, do brzucha śmiało sięga.

— Ty — mówi mu baba — brzuch zostaw, twoje w nim nadzienie, a nie obce...

I dostało się tu babie, pociekły chłopskie łzy, a babska krew, ale wyjścia jak nie było tak nie znaleźli. Przyszła wtedy baba do Jezusa Chrystusa i mówi:

— Tak i tak sprawa wygląda Panie Jezu. Jestem baba Arina z hotelu „Madryt i Luwr", tego co na Twerskiej. Sprzątaczką w hotelu służyć — tyle co z podołkiem zadartym chodzić. Kto przyjdzie — ten pan, nawet Żyd, nawet każdy. Chodzi tu po ziemi sługa twój, młodszy dozorca Sierioga. Urodziłam ja mu w zeszłym roku bliźniaki, w samą niedzielę tuż przed ostatkami...

I wszystko Panu opowiedziała.

— A jeśli Sierioże w soldaty wcale nie iść? — zastanowił się w tym miejscu Zbawiciel.

— Nie bój się, posterunkowy go pociągnie...

— Posterunkowy, powiadasz — pochylił głowę Pan — o nim nie pomyślałem.. Słuchaj, a jeśli ci w czystości pożyć?...

— Aż cztery lata? — odparła baba. — Gdyby ciebie posłuchać, wszyscy musieliby z tego zrezygnować, to twój stary nawyk, a potomstwo skąd brać?... Ty mi daj rozsądne wyjście...

W tym miejscu rumieniec zalał oblicze Pana, dopiekła mu baba do żywego, ale przemilczał to. W ucho się nie pocałujesz, to nawet Bóg wie.

— Ot co, służebnico Boża, wielka grzesznico dziewico Arino — objawił Pan w swym majestacie — pałęta się u mnie w niebiesiech aniołek, Alfredem go zwą. Zupełnie jest do niczego, nieposłuszny taki, cały czas płacze: czemuż to, Panie, mnie w dwudziestym roku życia tyś w anioła przemienił, kiedy jeszcze ze mnie zupełnie sprawny młodzieniec. Dam ci ja, służebnico, Alfreda — anioła na cztery lata za męża. Będzie on ci modlitwą, będzie on ci obroną, będzie ci on amantem. A urodzić od niego nie tylko dziecko, ale nawet kaczęcie jest rzeczą niemożliwą, dlatego przyjemności z nim dużo, a odpowiedzialność żadna...

— To jest to — rozmodlona rzekła dziewica Arina — ja z ich odpowiedzialności prawie trzy razy na dwa lata umieram...

— Będziesz miała przyjemny odpoczynek, dziecię Boże — Arino, będziesz miała modlitwę tak lekką jak pieśń. Amen.

Na tym stanęło. Przywiedli Alfreda. Chudy chłopaczyna, łagodny, za błękitnymi ramionkami dwa skrzydełka kołyszą się, lśnią różowym ogniem, jak gołębie w niebie pluskają. Obłapiła go Arina, szlocha z zadowolenia, z babskiej radości.

— Alfredku, szczęście moje, przeznaczenie ty moje...

Przykazał jej jednakże Pan, aby przed pójściem do łóżka aniołowi skrzydełka zdejmować i w czyste prześcieradło zawijać, bo — przy jakimś szamotaniu — skrzydło łatwo złamać, a zrobione ono z niemowlęcych westchnień, i nic więcej.

Pobłogosławił ten związek Pan po raz ostatni; przywołał na ten akt chór cerkiewny, zupełnie głośno śpiewający, żadnych zakąsek ani na lekarstwo nie było, nie ma w zwyczaju; i pobiegła Arina z Alfredem, objąwszy się, po jedwabnych schodach na ziemię. Wyszli na Pietrwokę — oto gdzie babę pognało — kupiła Arina Alfredowi (bo on, prawdę powiedziawszy, nie tylko bez portek, ale zupełnie bez niczego był) lakierowane półbuty, trykotowe kraciaste spodnie, myśliwskiego stroju marynarkę, kamizelkę lśniącą, aksamitną.

— Resztę — powiada — przyjacielu, znajdziemy w domu...

Do pracy, jako pokojowa, Arina tego dnia nie poszła, wyprosiła zwolnienie. Przyszedł Sierioga z awanturą, ale do niego nie wyszła, a powiedziała przez drzwi:

— Siergiej Nifantycz, myję teraz sobie nogi, i proszę odejść bez kłótni...

Ani słowa nie powiedział, poszedł. Był to początek działania aniołowej siły.

A kolację Arina przygotowała, jak to się u nas mówi, kupiecką — ech, diabelską miała ambicję. Butelka wódki, wino specjalne, śledź dunajski z kartoflami, samowar herbaty. Jak Alfred tej ziemskiej rozkoszy spróbował, to go od razu zmożyło. Arina szybko skrzydełka mu z zawiasków zdjęła, spakowała, a jego do łóżka zaniosła.

I leży u niej na puchowej pierzynie, na podartej wielogrzesznej pościeli śnieżnobiałe dziwo, nieziemskie promieniowanie od niego bije, księżycowe kolumny na zmianę z czerwonymi po pokoju chodzą, na promiennych nogach kołyszą się. I płacze Arina i cieszy się, śpiewa i się modli. Poszczęściło ci się, Arina, niebywale na tej poturbowanej ziemi, błogosławionaś ty pośród niewiast!

Butelkę do dna wypili. To dało znać o sobie. Jak tylko zasnęli — na Alfreda rozpalonym brzuchem, sześciomiesięcznym. Siergiejowym, wlazła. Mało jej z aniołem spać, mało jej tego, że nikt obok na ścianę nie pluje, nie chrapie, nie sapie, mało jej tego, szalonej babie, wściekłej — nie, jeszcze brzuszysko nabrzękłe i rozpalone bardziej podgrzać chciała. I zadusiła anioła Bożego, zadusiła po pijanemu w tej gorączce, z radości zadusiła, jak tygodniowe niemowlę, pod siebie wcisnęła i koniec śmiertelny mu nastał, a ze skrzydeł w prześcieradło zawiniętych blade łzy pociekły.

Świt nastał — drzewa aż się gną. W dalekich lasach północnych każdy świerk w popa się przemienił, każda sosna padła na kolana.

I znowu stanęła baba przed tronem Pańskim, szerokoramienna, potężna, na jej czerwonych rękach młody nieboszczyk leży.

— Spójrz, Panie...

Tu pokorne Chrystusowe serce nie wytrzymało, przeklął więc w duszy kobietę:

— Jak ci się poszczęściło na ziemi, tak ci się poszczęści, Arina...

— Ależ, Panie — odpowiada mu białogłowa ledwie dosłyszalnym głosem — czy to ja stworzyłam moje ciężkie ciało, czy ja pędziłam wódkę, ja babską duszę samotną, durną wymyśliłam...

— Nie będę się z tobą przekomarzać — wykrzykuje Pan Jezus — zadusiłaś mi anioła, ach ty, ścierwo...

I rzuciło Arinę cuchnącym wiatrem na ziemię, na Twerską ulicę, do obsługiwanych przez nią pokojów w hotelu „Madryt i Luwr". A tam — koniec świata! Sierioga hula jak nie wiem, bo jest poborowym. Dostawca Trofimycz dopiero co z Kołomny przyjechał, zobaczył Arinę, jaka ona silna i rumianolica.

— Ach, ty brzuszku — mówi jej, i tak dalej...

Isaj Abramycz, staruszek, o tym brzuszku usłyszawszy też się sępi.

— Nie mogę — powiada — z tobą legalnie według prawa, po tym co się tobie przydarzyło, ale tak sobie poleżeć mogę...

Powinien w matce — ziemi leżeć, a jemu jeszcze inaczej się zachciewa; ale on też nie omieszkał Arinie w duszę napluć. Wszystko jakby z łańcucha się urwało — chłopcy kuchenni, kupcy i inoziemcy. A handlarz — on już potrafi pograć jak trza...

I tu koniec bajki.

Przedtem nim urodziła, bo czas trzech miesięcy już minął, wyszła Arina na tylny podwórzec za stróżówkę, uniosła swój straszliwie wielki brzuch do jedwabistych niebios i rzekła bezmyślnie:

— Widzisz Panie ten brzuch? Biją w niego czym popadnie. I co to znaczy, nie pojmę. A znowu sobie tego, Panie, nie życzę...

Łzami omył Jezus Arinę w odpowiedzi, padł przed nią na kolana Zbawca.

— Wybacz mi, Arinuszka, Bogu grzesznemu; i cóż to ja z tobą nawyczyniałem...

— Nie ma dla ciebie mego wybaczenia, Jezu Chryste — odpowiada mu Arina — nie ma.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

WIOSNA?

JURIJ ZOŁOTARIOW

JUBILEUSZOWY GOŚĆ

Taka się historia wydarzyła. Woła dyrektor wystawy sprzętu kuchennego swego zastępcę i powiada:

— Dro ! mój — szykuje się u nas cicha, służbowa można powiedzieć, uroczystość.

— A to z jakiej okazji? — pyta zastępca.

— Z okazji stutysięcznego gościa zwiedzającego wystawę. W sklepie, rozumiesz, zawsze ten sam rondelek i zawsze to samo żelazko... Do nas przychodzą ludzie, aby trochę pomarzyć, powzdychać i tak dalej.

— W porządku. Złożymy temu stutysięcznemu gościowi gratulacje, sfotografujemy go, kwiaty damy, no i jakąś pamiątkową patelnię, co?

— Nie takie proste. Nie można fotografować, obdarzać kwiatami czy patelnią człowieka przypadkowego. To musi być jakiś pewny towarzysz. Sprawdzony! Sprawdzony tak po linii zawodowej, jak i osobistej... Ażeby nie było wstyd zaprosić go do prezydium czy uścisnąć rękę, albo i ucałować... Jasne?

— Jasne.

Zastępca dyrektora rozejrzał się tu i tam, rozpytywał znajomych, badał kandydatów na stutysięcznego gościa. No i znalazł. Cóż to był za obowiązkowy i przodujący obywatel: pięć razy otrzymał nagrodę, trzy razy był wybrany na odpowiedzialne funkcje społeczne, tylko raz jeden żonaty.

— Drogi towarzyszu Bubiennikow! — powiedział dyrektor wręczając mu kwiaty i patelnię. — Pozwólcie, że was z całego serca ucałuję.

A Bubiennikow cicho, skromnie i jakoś świeżo powiedział tylko:

— Dziękuję... I tak wszystkim przypadł do gustu, że ktoś tam poszedł do dyrektora i powiedział mu na ucho:

— Słuchaj, bracie, jestem kierownikiem sklepu i lada dzień będę obchodził jubileusz jakiejś okrągłej liczby kupujących. Łatwo wpaść na byle jakiego klienta, o którym nic powiedzieć nie można, nie sprawdzonego i w ogóle... A ten Bubiennikow w sam raz dla mnie... Pożyczyłbyś mi go?

— Proszę bardzo — powiedział łaskawie dyrektor wystawy — jeśli on nie ma nic przeciwko temu...

Krótko mówiąc Bubiennikowa zaczęto sobie wyrywać. Telefonowano do niego, pisano do niego, nawet byli tacy co czekali na niego przed domem.

— Towarzyszu Bubiennikow! Wpadnijcie do naszego teatru! Akurat setnego widza oczekujemy!

— Nie, nie, zajdźcie wpierw do ogrodu zoologicznego! Czekamy na was wszyscy! Ludzie i zwierzęta!

Pewnego dnia Bubiennikow miał tego wszystkiego dosyć. — Stop! Kropka! Ale właśnie tego rana zadzwonił telefon. Jakiś dostojny głos zaczął go przekonywać:

— Nie wzbraniajcie się, towarzyszu Bubiennikow. To wasz o-bo-wią-zek! Szykuje się poważne wydarzenie — otwieramy nową pływalnię. Wykąpiecie się pierwszy?

— Nie umiem pływać...

— Nauczymy...

— A jeśli ja nie chcę uczyć się pływania?

— Wielka historia! Raz jeden dacie nurka i wyciągniemy was z wody. O czym mowa?

Rzeczywiście. Bubiennikowa wyciągnięto z wody. W ostatniej chwili. Potem na rękach zaniesiono go do bufetu i poczęstowano szklaneczką czegoś mocniejszego...

Co wam będę opowiadał... Wszystko w życiorysie i charakterystyce Bubiennikowa zostało sprawdzone, tylko nie przewidziano, że po wyciągnięciu z basenu okaże słaby charakter. Po pierwszej szklaneczce przyszła druga, potem trzecia! Bubiennikow najpierw śpiewał, potem komuś w zęby dał..

Skończyło się w izbie wytrzeźwień..

... gdzie został powitany niezwykle serdecznie i uroczyście. Czekali tam właśnie na jubileuszowego gościa.

Zdjęcia Włodzimierza Parysa

• PAWEŁ UDOROWIECKI — AKTY •

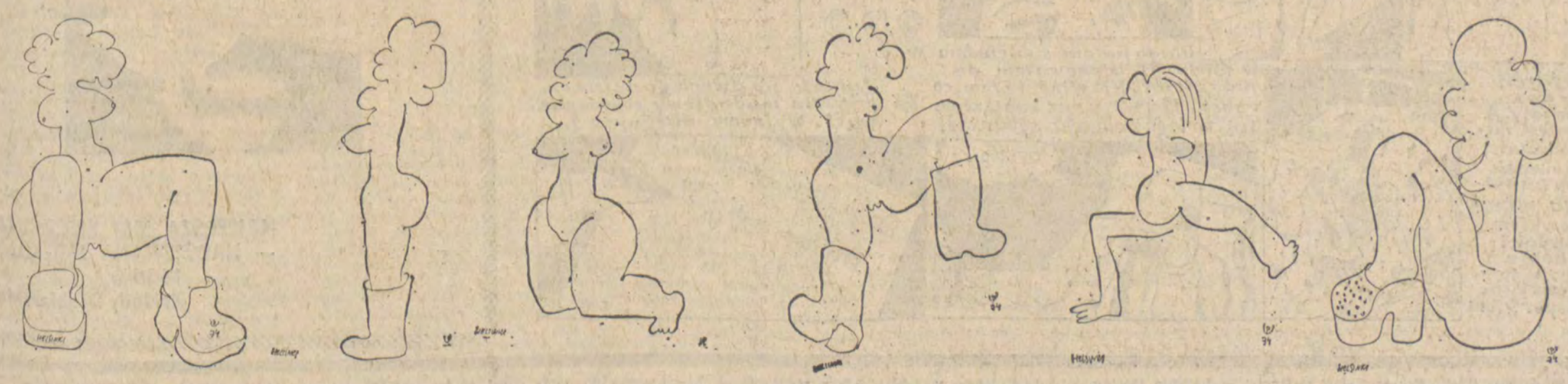

MAGAZYN ODGŁOSY

JERZY WILMAŃSKI

POCHWAŁA KOLEKCJONERSTWA

Czy stary kufel z gdańskiej piwiarni, gdzieś z początków naszego wieku, należy do kultury? Czy należy do kultury fajansowa figurka wzorowana na saskich bibelotach z porcelany?

Myślę, że tak. Po prostu uważam, że każda kolekcja — niezależnie czy to będzie kosztowny zbiór starych sreber czy klaser z etykietami bez rynkowej wartości — stanowi jakiś dokument kultury materialnej.

Dziś nawet te sztancowane w metalu wizerunki Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego stanowią przedmiot westchnień kolekcjonerów, choć pochodzą z XX wieku i nie są przecież ani dziełem sztuki ani szacownym zabytkiem.

A zresztą pojęcie zabytku też uległo przewartościowaniu. W swoim czasie oto dowiedzieliśmy się ze zdumieniem, że Łodzi... przybyło zabytków. Nie ma w tym nic z paradoksu. Po prostu na listę zabytków dostała się secesyjna i neoklasycystyczna architektura. I raptem — z dnia na dzień — Łódź stała się jednym z największych w Polsce skupisk zabytkowej architektury XIX wieku.

Jeszcze parę lat temu wyrzekaliśmy na zwaliste bryły łódzkich fabryk. Był czas, kiedy wołano o ich zburzenie, aby śladu nie pozostało po latach kapitalistycznego rozpasania. Dziś jednak bardzo uważnie przypatrujemy się łódzkiej architekturze przemysłowej, świadomi, że nierozważna decyzja może nieodwołalnie zburzyć jakiś materialny ślad przeszłości.

Nieprzypadkowo wcale łódzka oficyna wydawnicza opublikowała niedawno piękny album Wacława Kondka o łódzkich pałacach fabrykanckich. Nieprzypadkowo wcale powstaje aktualnie w Wydawnictwie Łódzkim kolejny album tego autora — tym razem o architekturze przemysłowej. Wiadomo, że nie da się zachować miasta i jego fabryk w formie XIX-wiecznego skansenu — trzeba burzyć, aby budować i taka jest nieuchronność dziejów. Dobrze więc, że utrwala się ślady tamtych murów, aby pozostały jako świadectwo czasu.

Czy zmienia się nasza ocena tamtej przeszłości? Nic podobnego! Po prostu chcemy zatrzymać jej ślad, aby żaden z fragmentów narodowych dziejów nie został zatarty.

Po prostu zaczynamy cenić przeszłość, jej ślady nobilitujemy i chronimy na kształt rodzinnych pamiątek. I dlatego takie powodzenie mają wszelkie „bziki" kolekcjonerskie, dlatego takim szalonym powodzeniem cieszą się różnego rodzaju giełdy hobbystów.

Właśnie niedawno przybyła Łodzi impreza, zorganizowana przez „Express Ilustrowany", która w każdą pierwszą niedzielę miesiąca gromadzi w Dzielnicowym Domu Kultury na Polesiu tłumy kolekcjonerów i kibiców. I wcale nieprzypadkowo ten comiesięczny zlot odbywa się w Domu Kultury. Przecież to wszystko co znajdujemy na dwóch piętrach gmachu przy ul. 1 Maja do kultury przynależy.

Oto niewielkie stoisko z książkami. Znajdziemy tam zarówno zeszyciki piosenek z warszawskich rewii — z „Morskiego Oka", „Qui Pro Quo", „Bandy"... jak i klasyków w wydaniu sławnego „Roju". Znajdziemy tam jakieś druczki literatury brukowej obok śmiesznych dziś poradników i książek kucharskich.

Wszystkie te książki jakoś przeżyły wojnę — a czasem i dwie wojny — przeszły przez wiele rąk i przez wiele strychów, aby znów wrócić na półki bibliofilów. Nie zestarzały się — przeciwnie, odmłodniały, czas przydał im kolorów, niektóre obdarzył egzotyką.

Czyż nie należą one — te zapomniane a czasem śmieszne książki — do skarbnicy kultury? Oczywiście, że należą. I dobrze, że dzięki owej kolekcjonerskiej imprezie wejdą te książki na nowo w czytelniczy obieg.

Podobnie zresztą jest ze starymi monetami, medalami, odznakami; uwagi te dotyczą w równiej mierze starej książki co starego secesyjnego zegara, starej gazety i starego kufla.

Kolekcjonerstwo jest jedną z form aktywnego uczestnictwa w kulturze i dobrze, że w Łodzi azyl dla niego znalazł się właśnie w Domu Kultury. Poza tym kolekcjonerstwo ma dziś funkcję społeczną o bardzo szerokiej skali. Jest częścią nauki i kultury ale i w osobistym życiu milionów ludzi odgrywa niekiedy bardzo ważną rolę.

Wartość wychowawcza kolekcjonerstwa — piszą Przemysław Burchard i Eugeniusz Gołowin w książce „Moje hobby" — tkwi bowiem nie tyle w rodzaju i jakości gromadzonych przedmiotów, ile w czynnym stosunku zbieracza do tych przedmiotów. Kolekcjonując z myślą i z uczuciem, poznając jakąś wybraną, choćby bardzo wąską dziedzinę życia, staramy się zbadać wszystko to, co się z tą dziedziną wiąże, by później coraz lepiej rozwijać i wzbogacać samą kolekcję.

Znakomitym przykładem owego czynnego, kulturotwórczego stosunku może tu być jeden z pomysłodawców i animatorów łódzkiej giełdy kolekcjonerów — numizmatyk Stanisław Bulkiewicz. Bo oto po iluś tam latach gromadzenia zabytków numizmatycznych stał się on cennym popularyzatorem dziejów polskiego pieniądza, posiadł rozległą wiedzę na ten temat i honorowany jest międzynarodowymi wyróżnieniami za swoje zbiory.

Kiedyś kolekcjonerstwo wiązało się ze sporymi kosztami — w ten sposób powstawały na przykład zbiory malarstwa i rzeźby z których — nawiasem mówiąc — powstało wiele słynnych dziś światowych galerii sztuki. Tak było choćby z moskiewską Galerią Trietiakowską czy zbiorami z obecnego Muzeum im. Puszkina... Tak było zresztą z łódzkim Muzeum Sztuki, na którego obecną sławę złożyły się kolekcjonerskie pasje rodziny Bartoszewiczów a potem Przecława Smolika i Władysława Strzemińskiego.

Bez kolekcjonerskich pasji nie byłoby dziś żadnej galerii sztuki, nie byłoby dziś żadnego wielkiego zbioru zabytków. Wszystkie one zaczynały się właśnie od owego prywatnego hobby pielęgnowanego z myślą i uczuciem.

Dziś wygląda to nieco inaczej. Kolekcjonerstwo nie wymaga wielkich nakładów pieniężnych — wymaga tylko pasji i wciąż poszerzanej wiedzy o przedmiotach i dziejach przedmiotu. Zapewne z dzisiejszych kolekcji naszych Kowalskich nie powstaną wielkie światowe muzea, ale rola zbieractwa wcale nie stała się mniejsza. Przeciwnie. Dzięki rozszerzeniu grona zbieraczy kolekcjonerstwo zaczyna pełnić funkcje inne — wcale nie zasługujące na lekceważenie.

Kolekcjonerstwo jest dziś — jak się rzekło — formą czynnego uczestnictwa w kulturze. Kto w to nie wierzy niech odwiedzi Dzielnicowy Dom Kultury na Polesiu.

Fot. Jerzy Stankiewicz

POWIĘKSZENIA

OPTYMIZM

„Ostatni krzyk mody telekomunikacyjnej" zapowiada **„Dziennik Łódzki"**. Są to elektroniczne centrale telefoniczne, których produkcję rozpoczęły Zakłady Teleelektroniczne „Telkom — Teletra" w Poznaniu. Pierwsza taka centrala, która umożliwi posiadaczowi telefonu do niej podłączonego, przełączanie rozmów na telefon znajomych, u których akurat właściciel bawi w gościach, automatyczne budzenie, zamawianie rozmów również automatyczne, a nawet rozmowę z trzema numerami telefonicznymi jednocześnie — została już zainstalowana w osiedlu poznańskim „Winogrady". Gdzie będą następne? — gazeta nie podaje

A nam się marzy zwykły aparat, który łączyłby szybko, nie przerywał „samoczynnie" rozmów, nie mylił się przy łączeniu i który nie kazałby czekać na sygnał po pół godziny.

BEZ SZANS

„Przegląd Sportowy" donosi:

„Irena Szewińska otrzymała 10 bm. tradycyjną nagrodę ufundowaną przez Polską Agencję Prasową dla najlepszej sportsmenki Europy. A ankiecie PAP, w której wypowiedziało się 20 europejskich agencji prasowych, polska sprinterka wyprzedziła takie sławy sportowe jak piłkarz holenderski Johann Cruyff i pływaczka NRD Kornelia Ender".

Nawet gdyby PAP stanęła na głowie to Johann Cruyff nigdy nie zostanie najlepszą sportsmenką Europy.

CUDOTWÓRCY

„Wiadomości Sportowe" piszą:

„Dziesiątki gminnych miejscowości w kraju, a także tysiące ludowych zespołów sportowych chwali się posiadaniem obiektów sportowych, których wartość osiąga niekiedy miliony złotych. Wydawać by się więc mogło, że wystarcza dobre chęci młodzieży, aby mogła sobie wybudować obiekt sportowy i prowadzić na nim zajęcia".

A nam już w szkole wpajano, że dobrymi chęciami można tylko piekło wybrukować.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

NOWOŚCI W USŁUGACH

Spółdzielnia im. „Młodości Mikołaja Kopernika w Toruniu i Jego Figlów" w ramach usług dla ludności oferuje nowy i ciekawy asortyment. Wystarczy nadesłać krótki życiorys i zdjęcie do legitymacji, by otrzymać za zaliczeniem pocztowym ciekawy film fabularny, nakręcony na temat, rzetelnie i uczciwie, bez dygresji i ubarwień, z Łapickim w roli zamawiającego. Koszt usługi, ze zrozumiałych przyczyn, wzrasta proporcjonalnie do wieku klienta. Zgłaszającym usługę filmową w miesiącu lutym, Spółdzielnia tytułem bonifikaty bezpłatnie uszczelni okna metalową taśmą.

PIERWSZY RAZ

W Szkocji naukowcy filmowi po raz pierwszy na świecie nakręcili na taśmie filmowej zdjęcie mózgu ludzkiego w czasie natężonego myślenia o słusznych zagadnieniach. Niestety, uzyskane zdjęcia są nieco niewyraźne i zamazane ze względu na półmrok, który zazwyczaj panuje w miejscu pracy tego ciekawego organu. Wszelkie próby czynione przez naukowców filmowych ze Szkocji, by należycie oświetlić ten proces, spotykają się z brakiem zrozumienia ze strony właścicieli mózgów — tzw. „głowaczy".

NOWOCZESNA STATYSTYKA FILMOWA

Zbliżają się do końca pierwsze naukowe obliczenia związane z pobytem na naszych ekranach filmowej adaptacji „Potopu". Już w tej chwili można stwierdzić, iż największą niechęć do Szwedów uzyskano w kinie „Kosmos". W jesieni zostaną zsumowane i podliczone chęci do Oleńki.

JACEK BROMSKI - STORY

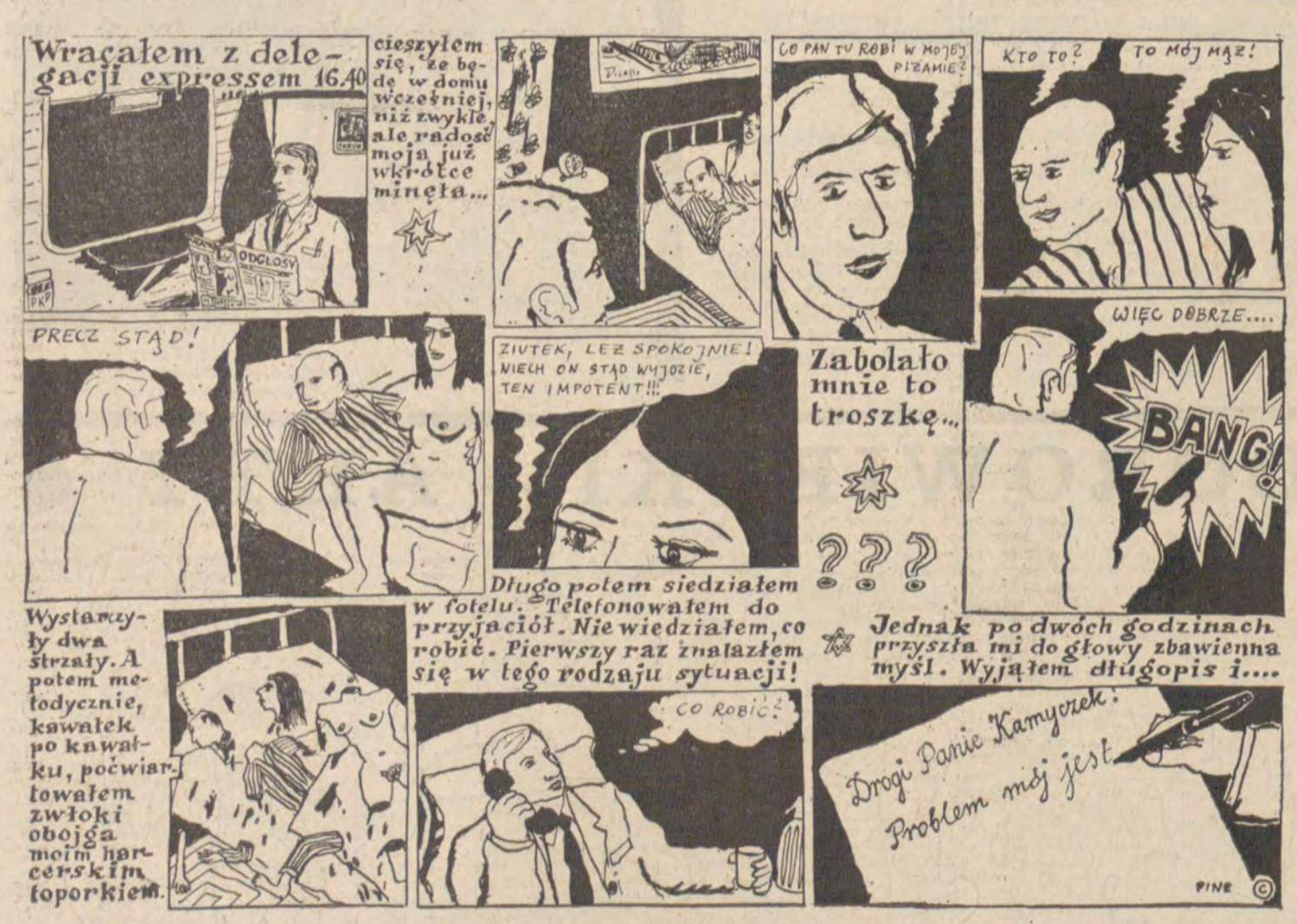

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00 wew 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 90. U-11 Nr indeksu 37006/36762